DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII — Warszawa, 8 czerwca 1952 r. — Nr 23 (341)

W NUMERZE m. in.:

A. GAWROŃSKI — Poezja bezwładu, czy poezja programowa?

A. TUCZEMBA — Po podpisaniu „układu ogólnego"

Z. BEDNORZ — Kazimierz Gołba napisał dzieło.

W. CHYLICKA — Splątane korzenie

L. PROROK—Nad grobem pierwszych Piastów.

T. WIERZBICKI — Renesans czy kryzys?

Andrzej MICEWSKI

Apel wierzących Związku Radzieckiego

W DNIACH od 9 do 12 maja odbyła się w Zagorsku pod Moskwą konferencja przedstawicieli wszystkich wyznań na terenie Związku Radzieckiego, poświęcona walce o pokój. Konferencja ta uchwaliła apel do ludzi wierzących wszystkich krajów świata.

Konferencja w Zagorsku jest wydarzeniem doniosłym nie tylko dlatego że po raz pierwszy na terenie Związku Radzieckiego odbyło się tak ważkie zebranie ludzi wierzących. W obradach wzięli udział przedstawiciele wszystkich wyznań istniejących na terenie ZSRR. Jak donosi komunikat, w Zagorsku byli również obecni: ks. biskup Strode, ks. kanonik Stankewicius — administrator archidiecezji kowieńskiej oraz ks. kanonik Mażylis — administrator diecezji telszańskiej. Kościół katolicki nie bierze udziału w obradach różnych wyznań gdy chodzi o sprawy doktrynalne. Niemniej przedstawiciele Kościoła mogą brać udział w obradach wraz z innymi wyznaniami, gdy obrady te dotyczą wspólnych ogólnoludzkich interesów. Apel wierzących Związku Radzieckiego nie jest wypowiedzią doktrynalną, lecz jest pełnym najgłębszej treści wezwaniem ludzi, którzy swą aktywność motywują, wprawdzie różnorodną, ale w sprawie nakazu pokoju jednoznaczną postawą religijną.

Wspomniany apel odbije się szerokim echem wśród wierzących różnych krajów i zapewne stanie się początkiem nowego etapu, jeszcze silniejszej mobilizacji do walki o pokój.

Wynika to przede wszystkim z treści samego apelu, która jest godna szczególnej uwagi. Zawiera ona na wstępie analizę postawy psychicznej i intelektualnej ludzi nastawionych pokojowo i stwierdza:

„...ludzie są ogarnięci trwogą, gdyż czują, że atmosfera międzynarodowa zatruwana nienawiścią, strachem i pogłoskami o wojnie pogarsza się z każdym dniem. Wielu ludzi zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lecz nie wszyscy wiedzą co jest źródłem tego niebezpieczeństwa, a niektórzy ulegają fałszywej propagandzie, dopatrując się źródła niebezpieczeństwa nie tam, gdzie się ono w rzeczywistości znajduje. Dlatego też pozostają oni bądź na uboczu walki, bądź też są pełni wątpliwości i niezdecydowania, bądź wreszcie znajdują się pod wpływem wrogich pokojowi tendencji".

Wychodząc z tej analizy apel wskazuje wyraźnie na źródło niebezpieczeństwa wojny:

„...źródło wojny znajduje się nie tu gdzie ludzie pracują nieustannie, stwarzając warunki szczęścia i rozkwitu, osuszają bagna i nawadniają pustynie, gdzie wysiłek ludzki skierowany jest przeciwko suszy i chorobom, gdzie marzenia i czyny człowieka owiane są ideałami pokoju — lecz tam, gdzie konflikty społeczne są tłumaczone nadmiarem ludności, gdzie wytwarzane są najbardziej skuteczne środki masowej eksterminacji ludzi, gdzie przygotowuje się wojnę i snuje się marzenia o panowaniu nad światem".

PROBLEM ODPOWIEDZIALNOŚCI

W TEN sposób apel charakteryzując sytuację odwołuje się do poczucia odpowiedzialności u ludzi wierzących. Apel jest zaadresowany do duchownych i wiernych wszystkich wyznań. My, rzecz prosta, jako katolicy, odczytujemy go przede wszystkim pod kątem widzenia naszej religii i naszego poglądu na świat. Tym bardziej, że w naszym rozumieniu, jako członków Kościoła Powszechnego, właśnie katolicyzm jest przede wszystkim wyrazicielem doktryny pokoju wewnątrz sumień i między narodami. Katolicy więc w szczególny sposób są zobowiązani do realizacji idei pokoju. Niezwykle blizkim temu katolickiemu pojęciu odpowiedzialności za pokój, są sformułowania apelu wierzących Związku Radzieckiego, gdyż podkreślają one postawę aktywności i odpowiedzialności wobec zjawisk społecznych:

„obowiązkiem naszym jest przypominać ludziom wierzącym na całym świecie, że są żywymi uczestnikami wydarzeń dziejowych, a nie stojącymi na uboczu widzami bitwy, w której ważą się nasze wspólne losy".

Trafność sformułowania jest bardzo głęboka. Układ sił politycznych na świecie, wpycha czasem wyznawców światopoglądu religijnego na pozycję widzów, zainteresowanych wypadkami, ale za nie nieodpowiedzialnych. Taka postawa byłaby z gruntu fałszywa. Katolik, w naszym rozumieniu, zawsze ponosi odpowiedzialność za historię. Rzecz jasna, odpowiedzialność za pokój szczególnie obciąża ludzi wierzących w obecnej sytuacji, kiedy, jak mówi apel:

„pokój będzie zachowany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą broniły jej do końca".

Ważne jest jednakże, jak formułuje apel treść tej odpowiedzialności ludzi wierzących. Czytamy:

„Powinniśmy wzywać ludzi do walki przeciwko ułomnościom i zbrodniom, a nie przeciwko bliźnim, przeciwko wrogom pokoju, a nie przeciwko prawdzie nowego ustroju, którego nie chcą uznać zwolennicy wojny".

W ujęciu tym mamy dwa elementy, których nie sposób nie zaakcentować z naszego stanowiska ideowego. Po pierwsze, teza odpowiadająca chrześcijańskiej zasadzie walki ze złem, grzechem i zbrodnią, a nie z człowiekiem. Teza ta jest wyrazem szacunku dla człowieka, jego rozwoju osobowego, przy surowości dla jego złych indywidualnie i społecznie szkodliwych postępków, którym przeciwdziałać i które karać należy.

Po drugie w słowach apelu na podkreślenie zasługuje moment społeczno-ideowy, nakazujący walczyć nie przeciw prawdzie społecznej naszej epoki, ale przeciw tym, którzy rozwiązania problemów społecznych szukają w światowym konflikcie. Wydaje się, że tu właśnie tkwi sedno problemu i sedno trudności, jakie napotykają ludzie wierzący w świecie kapitalistycznym. Wmawia im się krucjatę dla rzekomej obrony religii i porządku społecznego „zgodnego z naturą człowieka", a który w istocie jest sprzeczny z samymi podstawami moralności.

Tak więc bezpośredni nasz udział w walce o pokój jest według sformułowania apelu wynikiem *„poczucia obowiązku wypływającego z naszego powołania"* jako ludzi wierzących.

ZADANIA OBROŃCÓW POKOJU

PO CZĘŚCI o charakterze zasadniczo ideowym, apel wierzących Związku Radzieckiego formułuje konkretne zadania polityczne, jakich realizacja stoi przed ruchem obrońców pokoju. W tych tezach apel opiera się całkowicie na konsekwentnej linii światowej Rady Pokoju i precyzuje następujące postulaty:

1) potępienie agresji i zakazanie we wszystkich krajach propagandy wojennej, wzniecającej nienawiść i wrogość;

2) zakaz broni atomowej, chemicznej i bakteriologicznej, oraz wszelkiej innej broni masowej zagłady;

3) powszechne, jednoczesne, kontrolowane rozbrojenie zarówno wielkich, jak i małych państw;

4) położenie kresu wojnie nie tylko w Korei, lecz wszędzie gdziekolwiek się toczy. (Potępiając agresję amerykańską w Korei apel nawołuje wierzących do poparcia apelu Biura Światowej Rady Pokoju z 1 kwietnia „Przeciwko wojnie bakteriologicznej");

5) zawarcie paktu pokoju między wielkimi mocarstwami.

Treść tych postulatów apelu duchownych i wierzących Z. S. R. R., zawiera naszym zdaniem prawdy bezsporne. Obowiązek czynnego udziału w walce o utrzymanie pokoju, potępienie wojny agresywnej, protest przeciwko używaniu i żądanie zakazu środków ludobójczych — stanowią nakazy etycznie oczywiste. Waga omawianego apelu polega w oczach ludzi wierzących, chrześcijan, a w szczególności katolików na specjalnym nacisku, jaki kładzie on na tę moralną stronę walki o pokój. Czytamy w apelu:

„Musimy wznieść moralną tamę przed rozpasaniem namiętności, które podjudzają do agresji przeciwko spokojnym sąsiadom i potępić je z góry, jako zbrodnię wobec moralności i ludzkości".

DO WIERZĄCYCH ŚWIATA KAPITALISTYCZNEGO

WŚRÓD innych ważnych akcentów apelu wierzących Związku Radzieckiego na szczególną uwagę zasługują partie skierowane do ludzi wierzących świata zachodniego. I tak czytamy:

„Atoli w krajach kapitalistycznych jeszcze nie wszyscy ludzie wierzący biorą udział w walce o pokój. Część chrześcijan jest odciągana od walki przez obłudną propagandę i przez autorytet niektórych przywódców duchownych związanych w ten lub inny sposób z kołami imperialistycznymi..." Do tych właśnie oszukanych, zastraszonych, wahających się i zwlekających, lecz potrzebujących pokoju i wierzących w pokój ludzi, chcielibyśmy zaapelować, by uświadomili sobie wspólne niebezpieczeństwo"...

Wierzący Z. S. R. R. zwracają się także w tym miejscu do narodów uciskanych oraz do wyznawców religii w krajach kolonialnych.

Nie ulega wątpliwości, że stanowisko ludzi wierzących w świecie kapitalistycznym będzie miało pierwszorzędne znaczenie dla sprawy pokoju. Dlatego też jako katolicy podkreślamy tu ze szczególnym naciskiem, że udział ludzi wierzących w obozie wojennym jest niewątpliwie wynikiem nadużycia religii przez politykę imperialistyczną, wynikiem jeszcze większego nadużycia jest udział chrześcijan, a największego udział katolików w obozie wojny. Ale też musimy mieć świadomość, że gdziekolwiek to ma miejsce, w każdym wypadku jest wynikiem zniekształcenia ducha i doktryny religijnej, zakłamania, lub też z gruntu błędnego pojmowania rzeczywistości i istoty współczesnego konfliktu światowego.

SPECJALNIE DO CHRZEŚCIJAN

APEL duchownych i wiernych Z. S. R. R. skierowany do wierzących wszystkich narodów, ras i kultur, zwraca się przede wszystkim do chrześcijan, wskazując na ich szczególną odpowiedzialność:

„Odpowiedzialność wasza za utrzymanie pokoju jest szczególnie wielka, albowiem groźba wojny pochodzi od rządów mieniących się rządami chrześcijańskimi.

Atoli ta okoliczność pozwala wam najbardziej pomyślnie służyć sprawie utrzymania pokoju, co wymaga od was nie przekładania jakiegoś ustroju społecznego nad inny, lecz tylko wierności wobec obowiązku religijnego. I kiedy z należną odwagą poczniecie skłaniać opinię publiczną na rzecz pokoju, to nie tylko wywrzecie dodatni wpływ na swe rządy, lecz prócz tego zapobiegniecie zarzutowi ze strony narodów należących do innych wyznań, że życie wasze nie odpowiada wymogom wiary chrześcijańskiej".

Z dwóch względów zwracamy szczególną uwagę na te słowa apelu wierzących Z. S. R. R., które zostały skierowane do chrześcijan: po pierwsze dlatego, że w chrześcijaństwie, a przede wszystkim w katolicyzmie, upatrujemy największe zobowiązania do służby idei pokoju, po drugie, że istotnie obecna sytuacja polityczna, w której obóz wojny składa się z krajów kapitalistycznych o ludności chrześcijańskiej, nakłada na chrześcijan zobowiązania moralne najwyższego rzędu.

OPINIA MORALNA WOBEC GROŹBY KONFLIKTU

DOKONAWSZY analizy podstawowych elementów apelu duchownych i wierzących narodów Związku Radzieckiego trzeba z kolei zwrócić uwagę na okres, w jakim apel ten został skierowany do ludzi wyznających światopoglądy religijne na całym świecie. Właśnie obecny moment nadaje omawianemu apelowi znaczenie moralne i polityczne tak wysokiego rzędu. Ten moment także obok omawianej wyżej treści apelu stwarza sytuację, w której apel wierzących Z. S. R. R. wywoła na pewno rezonans i będzie powodem wzmożenia ruchu pokoju ludzi o światopoglądzie religijnym.

A moment obecny charakteryzuje się tym, że istnieje znów bezpośrednia groźba agresji i konfliktu światowego. Zawarty przez Adenauera „układ generalny" między Niemcami zachodnimi a U. S. A., Anglią i Francją stwarza ostateczne rozbicie Niemiec i wciągnięcie zachodniej ich części do bloku atlantyckiego. Kraje zachodnie podobnie jak w r. 1949 pierwsze stworzyły zagrożenie pokoju, powołując sztuczne państwo Niemiec zachodnich, tak w tej chwili kładą ostatnią cegiełkę do odbudowy niemieckiego odwetu, rewizjonizmu i militaryzmu, wciągając Niemcy zachodnie do agresywnego bloku atlantyckiego i do agresywnej armii zachodnio-europejskiej.

Odpowiedzią obozu pokoju w 1949 r. było powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej we wschodniej części Niemiec, a dziś odpowiedzią jest oświadczenie Frontu Narodowego N. R. D., że jeśli „układ generalny" zostanie podpisany, tworząc zagrożenie pokojowego porządku we wschodnich Niemczech przez Wehrmacht t. z. „Republiki Federalnej", to N. R. D. powoła własną pokojową armię niemiecką do obrony pokojowego porządku Republiki.

Wiemy, że rządy państw imperialistycznych nie powstrzymają się jednak od żadnych posunięć powodujących zagrożenie pokoju. Tak jest na odcinku niemieckim, który decyduje o pokoju w Europie, tak jest i na wszystkich innych.

W tych warunkach, wobec konkretnego niebezpieczeństwa konfliktu, musi się rozlec głos przestrogi moralnej. Głos taki winien pochodzić od ludzi wierzących. Chodzi o to, by powiedzieć wyraźnie, że odpowiedzialność moralna spada na agresora, na tego, który stwarza zagrożenie pokoju i który ma zamiar rozpocząć strzelać.

Taki właśnie ma sens apel duchownych i wierzących Związku Radzieckiego i w tym sensie winien on być przyjmowany i pojmowany przez wierzących na całym świecie.

Katolicy polscy rozważając ten apel i podejmując jego postulaty winni wiedzieć, że dają z jednej strony wyraz uniwersalizmowi naszej religii, który popiera wszystko co dobre a z drugiej strony przeciwstawiają się próbom nadużycia katolicyzmu, jakich usiłuje dokonywać obóz imperialistyczny, chcąc uczynić katolicyzm i katolików narzędziami podporządkowanymi ich celom politycznym.

Katolicy polscy walcząc o pokój masowo i coraz aktywniej, są świadomi, że tworzą w ten sposób perspektywy dla własnego światopoglądu i dla pełnej postawy doktrynalnej katolika w nowym świecie.

Andrzej Micewski

Karol SKURPIEWSKI

GENERAŁOWIE I HITLER

W BLASKU i w glorii zwycięstw Bismarcka odrodziła się stara armia pruska i stała się znowu kręgosłupem cesarstwa zjednoczonych Niemiec. Nie było chyba w ciągu dziesiątek lat mieszczańskiego domu niemieckiego, w którym zabrakło by malowidła, dającego obraz historycznego dnia 18 stycznia 1871, kiedy w lustrzanej galerii pałacu w Wersalu stary król pruski Wilhelm obwołany został niemieckim cesarzem. Na oleodruku tym, który uczył i budował całe pokolenia Niemców, próżno by szukał cywilnego ubioru. Zwycięska armia dokonała przewrotu więc same wojskowe mundury dokumentowały dobitnie pod jakim znakiem powstało cesarstwo. Tuż za wąsaczem Bismarckiem, naród niemiecki widział na tych państwowotwórczych obrazkach marszałka i wodza Hellmuta von Moltke, dziedzica pruskiej tradycji Wielkiego Fryca, rozpoczynającego nową plejadę strategów.

Zwycięstwa nad Austrią w 1866 i nad Francją 1870/71 stworzyły podwaliny nowej wojennej szkoły i sztabu Niemiec. Były one zarazem zwycięstwami nad demokracją niemiecką, nad wątłym niemieckim mieszczaństwem, które próbowało młodych sił w rewolucji 1848 Skapitulowało ono przed junkrem pruskim Bismarckiem za cenę dobrobytu, oddając rządy i wojsko tryumfatorom, którzy zjednoczyli Niemcy pod znakiem wszechwładzy junkierskiej kasty. Kasta ta wzięła w swe ręce sztab i rozwinęła do niebywałych wymiarów nie tylko wiedzę i sztukę wojenną, ale autorytet wojskowego munduru. Sławna w świecie przygoda z kapitanem z Koepenick uprzytomniła w karykaturze całą pokraczność i społeczną grozę tego systemu. Przyszły jednak gorsze, poważne próby. Dwa razy starał się niemiecki sztab rozpalić wojnę i w oparciu o zbrojenia na niespotykaną przed tym skalę zawładnąć Europą i światem. Oba razy w 1918 i 1945, awantura skończyła się tragiczną klęską militarną. Zawiodła sztuka strategii, dwukrotnie załamał się i skompromitował pyszny i buńczuczny sztab generalny reklamowany w świecie, a niczym bożyszcze czczony wewnątrz kraju.

Opinia cywilizowanego świata o walorach sztabu niemieckiego poddana została rewizji. Arogancja i zarozumiałość współczesnych nam epigonów Clusewitza, Moltkego i Ludendorffa potrafiła, w parę lat po klęsce zdobyć teren nawet za Oceanem Atlantyckim. I tam zwodzi i nęci imperialistyczne głowy miraż magicznej potęgi niemieckiego generała i jego tajemnej wiedzy wojennej. Dobrze jest tedy, że historia i poważna publicystyka nie zostawiają odłogiem tej dziedziny i pokazują nam obraz środowiska, w którym lęgły się wielkie i okrutne wojny oraz choroby, jakie przeżarły niemiecki naród. Polskie piśmiennictwo o Niemczech wzbogaciło się w ostatnich tygodniach o pięć arkuszy zwięzłej pracy Stanisława Szenica o generałach i Hitlerze. Ze szkicu tego wyziera moralne oblicze junkierskiego środowiska; wielkie koncepcje polityki czy strategii paczą się i gniją w wężowisku pospolitych intryg osobistych. Stosunek do kaprala Hitlera ujawnia bezbrzeżną słabość i tchórzliwość rozpłaszczonych dostojników.

Na podstawie źródeł historycznych i wieloletniej obserwacji własnej w Niemczech, arcyciekawie opowiada Szenic o wielu wypadkach, plastycznie obrazujących manowce i bagna którymi szła dumna generalicja do momentu całkowitej kapitulacji przed Hitlerem. Już w samym zaraniu swych rządów, kiedy Reichswehra stanowiła w Niemczech nie byle jaką potęgę, śmiało dokonał Hitler operacji, która pod pozorami zdławienia buntu SA przeciwko wojsku, dała mu świetną okazję rozszczepienia szeregów generalskich. Nazywało się potocznie, że Roehm z SA robi frondę i chce swym szeregom zapewnić godne i równe wobec wojska stanowisko. Generał v. Blomberg pierwszy zadenuncjował rewoltę Roehma i innych niezadowolonych.

W nocy 30 czerwca 1934 nastąpiła rzeź, w której zginął Roehm i z nim razem około tysiąca niewygodnych osób. Wśród ofiar masakry znalazł się też jeden z najwybitniejszych generałów Reichswehry, były kanclerz v. Schleicher. Za ten czyn dostał Hitler dziękczynną depeszę z wyrazami „szczerego uznania" od samego prezydenta Hindenburga, nestora sił zbrojnych i naczelnego ich wodza. Tegoż zaś dnia wdzięczny v. Blomberg ogłosił w „Voelkischer Beobachter" artykuł o Wehrmachcie w Trzeciej Rzeszy, opiewający nie zachwianą jej wierność dla wodza Adolfa Hitlera „który wyszedł ongi z naszych szeregów i stale będzie jednym z nas".

Niedługo potem, w kilka zaledwie lat, doczekał się v.Blomberg rewanżu Fuehrera i swych kolegów. Starszy już generał ożenił się nagle ze swą młodą sekretarką, ponoć protegowaną samego Himmlera. Świadkami ślubu ministra wojny byli Hitler i Goering. Wnet potem ktoś jednak wyszperał, że powabna Erna generałowa, notowana była w wiadomych kartotekach policyjnych i nawet karana za handel pornograficznymi fotografiami. V. Blomberg zbezcześcił mundur i honor oficerski. Goering przedłożył Hitlerowi odpowiednie dokumenty i niefortunnego małżonka wyrzucono z urzędu i z wojska.

Jakby równolegle, i nie bez pomocy Blomberga, Gestapo sfabrykowało akty i dowody, że drugi z najwyższych dygnitarzy Reichswehry, generał von Fritsch także splamił mundur wojskowy jako homoseksualista. Obrzydła historia inscenizowana przez najpoważniejsze koła wojskowe przy pomocy najętych zbirów, fałszywego świadka i podstępnych zasadzek, odsłoniła w całej nagości nędzę reżimu i zgniliznę wojskowego środowiska. Sam Hitler przepędził z armii v. Fritscha i po usunięciu go, przystąpił do reorganizacji wojskowych szeregów. Zwołał do swej kancelarii wszystkich generałów i poinformował ich o zwolnieniu Fritscha i Blomberga. Jednocześnie zawiadomił ich krótko, że sam obejmuje naczelne dowództwo, które sprawować będzie przy pomocy Keitla jako szefa sztabu, zaś miejsce Fritscha zajmie v. Brauchitsch.

W taki to sposób powstało dowództwo armii, która ruszyła na podbój świata. Jak glina ulepiona w ręku Fuehrera, szły za nim generalskie szeregi upojone obłędnymi planami, w oszołomieniu łatwych, pierwszych powodzeń oręża i zawrotną władzą i przemocą, którą zdobywali nad tylu narodami podbijanej Europy wschodniej i zachodniej. Kiedy nadeszły porażki i rozczarowania, klęski i strach, sławetna generalicja niemiecka, sam kwiat militaryzmu i strategii, nie potrafiła zdobyć się na nic innego, jak pokątną krytykę i jałowe zrzędzenie. Dzisiaj, po latach, dziejopis niemiecki stara się nagle wmówić Niemcom i światu, że Hitler spotkał w kołach wojskowych opór i bunt, i wskazuje na próbę puczu znanego pod datą i nazwą 20 lipca. Zamach na życie Hitlera dokonany w 1944 przez podpułkownika hrabiego Stauffenberga nie jest jednak świetną kartą i świadectwem siły sztabu niemieckiego. Być może, że za kulisami tego wydarzenia stał wytrawny reżyser wielu intryg, Canaris, szef wywiadu. Przebieg zamachu dokonanego w baraku w „Wolfschanze" pod Ketrzynem nie przynosi staremu wydze zaszczytu. Partacka była robota. Hitler wyszedł cały, zaś kadry spiskowców w Berlinie sromotnie i tchórzliwie się rozpierzchły na pierwszą wieść, że posłyszano z głównej kwatery głos Fuehrera. Wtedy to nieznany nikomu major nazwiskiem Remer stanął u boku Goebbelsa i małym wysiłkiem wraz z garstką żołnierzy położył kres niefortunnej awanturze. Bezpośredni autor zamachu i dusza spisku, hrabia Stauffenberg, został ujęty i rozstrzelany wraz z innymi, potulny jak baran. Spisek okazał się bańką mydlaną, dziełem grupki ludzi nie mających żadnego kontaktu z masami narodu, pędzonych osobistą urazą i zawiedzionymi ambicjami. Główną ideową podporą komplotu, jeśli można w ogóle mówić o idei, była gromadka osób zwanych „Kołem z Kreisau", siedziby rodowej Hellmuta hr. Moltke, gdzie na pogawędki zbierała się grupa ludzi prawicy, przeważnie związanych z Zachodem przez mariaże, stosunki towarzyskie i interesy. W wyobraźni tych ludzi snuła się jedna konkretna myśl o restauracji Hohenzollernów. Zaś ich „rewolucyjną" koncepcją było zawarcie pokoju z mocarstwami zachodnimi i wspólna z nimi krucjata przeciw Związkowi Radzieckiemu.

Po wojnie 1914—18, gdy odszedł cesarz, generałowie utorowali sobie drogę do powrotu i do władzy ukuwszy legendę, którą nazwano „Dolchstoss-Legende". Wmawiała ona światu i Niemcom, że nie armia zawiodła na polach bitwy i nie sztaby generalskie, ale tyły cywile, jakieś społeczne męty uosobione po tym w weimarskich politykach i partiach, które niezwyciężonym kohortom cesarskim wymierzyły zdradziecki cios sztyletem w plecy. I sztuka ta udała się nadspodziewanie łatwo, generałowie z Wehrmachtem znowu weszli na widownię. Dzisiaj, po katastrofie 1945 roku, zabieg się znów powtarza, acz w innym wydaniu i w odmiennym kształcie. Nowoczesna historia niemiecka próbuje wykazać, że armia i jej nieomylny sztab stały się ofiarą dyletanta Hitlera, że wskazywali mu na błędy jego polityki i strategii i co najważniejsze, że zorganizowali ruch oporu w wojsku, który się ujawnił w puczu 20 lipca. Studium Szenica od pierwszej stronicy do ostatniej rozprawia się z tą tezą gruntownie i nie bez akcentu żywej, namiętnej polemiki. Ten ton uderzy i zdziwi zapewne niejednego polskiego czytelnika książki, któremu wryły się w pamięci wspomnienia generalskich satrapów, żołnierzy ze znakiem swastyki. Nas nie trzeba przekonywać, że armia i hitlerowska maszyna ludobójcza były w okrucieństwie wojny nierozdzielne i tym samym ostrzem cięły i darły ciało podbitych narodów. Zapomina się o tym jednak gdzie indziej. Legenda o generalskim ruchu oporu promieniuje z Bonn daleko na Zachód i pozwala dziś wychylać się z mroku ludziom 20 lipca, jako szermierzom i podporom remilitaryzacji Niemiec. Po kolei wybiela się generałów i wprzęga w przygotowania nowej wojny. W tym tkwi aktualność i wartość pracy Szenica. Odsłania ona w prawdzie historycznej nicość moralną wojskowych szczytów Niemiec tego zespołu pyszałków, który od stulecia blisko był dźwignią i ramieniem militaryzmu i imperializmu Niemiec.

NOTATNIK POLITYCZNY

Prawdziwe oblicze imperializmu

GWAŁTOWNE represje zastosowane przez rząd Pinay'a wobec francuskiego obozu lewicy nieprzypadkowo zbiegły się z podpisaniem przez ów rząd militarystycznego „układu ogólnego" i układu o „armii europejskiej". Ten jawny zamach na suwerenność narodu francuskiego, potwierdzony przyjazdem do Paryża amerykańskiego gauleitera Europy-Ridgway'a nie mógł nie wywołać potężnej fali protestu wśród patriotycznie myślących Francuzów. Pinay i Schuman doskonale zdawali sobie sprawę z tego stanu rzeczy i postanowili mu „w porę" zapobiec.

Centralne uderzenie skierowane zostało oczywiście przeciw Francuskiej Partii Komunistycznej i Francuskiemu Ruchowi Obrońców Pokoju. W przeddzień przyjazdu Ridgway'a policja francuska aresztowała naczelnego redaktora „Humanite" André Stila, członka Komitetu Centralnego KPF i laureata Nagrody Stalinowskiej, którą otrzymał za słynną książkę o walce dokerów francuskich przeciwko amerykańskiej interwencji. Stil został oskarżony o nawoływanie do wzięcia udziału w „zakazanej" manifestacji przez opublikowanie w „Humanite" artykułu wstępnego w którym m.in. pisał: „Dlatego też, zachęceni wczorajszym sukcesem i odpowiadając na apel skierowany przez ruch pokoju, wszyscy mówią: a teraz w przyszłą środę na Place de la Republique".

Wkrótce potem władze sądowe zmuszone były cofnąć, jako całkowicie nieuzasadnione, pierwotne oskarżenie wysunięte przeciw Stilowi, lecz jednocześnie przetrzymują go nadal w więzieniu, zapowiadając „nowe" oskarżenia.

Kulminacyjnym punktem akcji policyjnej w Paryżu było aresztowanie Jakuba Duclos i najście na lokal Komitetu Centralnego KPF. Duclos—sekretarz KPF, przewodniczący komunistycznej frakcji parlamentarnej i słynny przywódca francuskiego Ruchu Oporu został aresztowany pod pretekstem rzekomego „schwytania na gorącym uczynku". W rzeczywistości to pogwałcenie nietykalności francuskiego posła do parlamentu nastąpiło żeby dowieść Ridgway'owi, iż „przeciwko polityce amerykańskiej występuje znikoma mniejszość narodu" jak się wyraził minister spraw wewnętrznych rządu Pinay'a—Brune. Wkrótce potem wyszło na jaw, że prowokacja policji była na długi okres czasu przed aresztowaniem starannie zaplanowana o czym świadczy fakt, iż policjantom towarzyszyli sprawozdawcy reakcyjnego dziennika „France Soir".

Fabrykowanie fałszywych oskarżeń swoje najcelniejsze zastosowanie znalazło w sobotnim najściu policji na lokal Komitetu Centralnego KPF. Policja, która początkowo dokonywała rewizji w obecności personelu Komitetu Centralnego, nie mogąc znaleźć nic „kompromitującego", postanowiła prowadzić rewizję bez niewygodnych dla niej świadków. W związku z tym, wbrew obowiązującym przepisom, rewizja dokonywała się wyłącznie przy udziale samych funkcjonariuszy policji, co dawało im pełną swobodę „znajdowania" wszystkiego co znaleźć chcieli.

Identyczne rewizje odbyły się w lokalach CGT, Związku Kobiet Francuskich i Komitetach Obrony Pokoju.

Okoliczności tych operacji policji Pinay'a przypominały niejednokrotnie sceny, których świadkami byli Francuzi podczas okupacji hitlerowskiej.

Rzecz jasna czym silniejsze są fakty prześladowań tym mocniejszy jest opór ludu francuskiego. W tej chwili obywatele Francji pozbawiają się resztki złudzeń co do demokratycznego charakteru ustroju IV Republiki. To właśnie jego rzekomy liberalizm utorował drogę do władzy byłemu współpracownikowi Petaina-Pinay'owi, który obecnie nie krępuje się już absolutnie w niczym: ani w protegowaniu wszystkich byłych kolaborantów, ani w stosowaniu najbrutalniejszych represji wobec najgłośniejszych uczestników Résistance.

Dialektyka francuskich wydarzeń jest najzupełniej prawidłowa. Faszyzacja kraju, który wydał burzycieli Bastylii i bohaterów Paryskiej Komuny odbywa się podług tych samych wzorów, które kiedyś z powodzeniem stosował Hindenburg pomagając Hitlerowi w obaleniu republikańskich zdobyczy Niemiec Weimarskich. Tak jak Hindenburg i „katolik" von Papen przygotowywał grunt dla „nazich", tak samo dziś „katolik" Bidault, „socjalista" Guy Mollet i „niezależny" Pinay torują drogę dla dyktatury faszystowskiej. Historia jednak uczy, że ostatnie słowo należy do narodu

DO PRENUMERATORÓW

„DZIŚ i JUTRO"

Przypominamy, że termin przedpłaty prenumeraty za miesiąc lipiec względnie za III kwartał br. upływa z dniem 15 czerwca 1952 r.

Wpłaty dokonane po terminie spowodują opóźnienie w dostawie czasopisma. Prosimy przeto o terminowe wpłacanie należności za miesiąc LIPIEC względnie za III KWARTAŁ — do Urzędów Pocztowych względnie listonoszom wiejskim lub miejskim.

ADMINISTRACJA

Alfred GAWROŃSKI

Poezja bezwładu czy poezja programowa?

DRUKOWANY poniżej artykuł poświęcony zagadnieniu związków poezji z aktywnością polityczną nie jest głosem w dyskusji, do której nawiązuje. Nieporozumienie wynikłe z niefortunnego chociaż określonego kontekstem, użycia słowa „nadprogramowość" Z. Lichniak wyjaśnił już i umorzył na łamach naszego pisma (por. rubryka „Porozmawiajmy" nr 13 (331) z dn. 30.III. br.). Jednak wypowiedź Alfreda Gawrońskiego służy pełniejszemu wyjaśnieniu naszej postawy wobec problemów, które ciągle czekają na dalej idące precyzje. To uzasadnia jej publikację mimo formalnej dezaktualizacji elementów polemicznych.

Redakcja

DYSKUSJA, która odbyła się na jednym z zebrań warszawskiej sekcji Związku Literatów Polskich między Zygmuntem Lichniakiem a Jerzym Putramentem nie przyczyniła się — moim zdaniem — do wyjaśnienia teoretycznej postawy krytyki katolickiej wobec zagadnień polskiej poezji współczesnej. Chociaż Lichniak nie miał zamiaru bronić apolityczności poezji, jego teza o jej nadprogramowości, mimo wszystkich zastrzeżeń ma obiektywnie bardzo podobne znaczenie.

Nie podzielam zdania marksistów, że nie ma w historii poezji apolitycznej, że teza o apolityczności poezji była nawet w przeszłości fikcją. Dopiero w epoce nowoczesnej, od wielkiego przełomu Rewolucji Francuskiej poczynając, świadoma aktywność polityczna nabierała znaczenia w rozwoju społeczeństwa. Od tego momentu, gdy kultura burżuazyjna doszedłszy do swego szczytu zaczynała powoli upadać, opierając się na tradycyjnym postulacie bierności artysty wobec życia społecznego, polityka nabiera coraz bardziej ideowego i twórczego sensu, w działaniu i w walce rewolucyjnych ruchów socjalistycznych (podobnie w walce o niepodległość narodową np. w Polsce, ale tylko wskutek sytuacji wyjątkowej, a nie typowej dla Europy w jakiej znajdował się nasz kraj). Dziś twórcza rola aktywności politycznej w historii jest faktem ustalonym raz na zawsze. Rozdzielenie polityki od kultury, które niegdyś istniało nie tylko w umyśle filozofów, ale również w rzeczywistości stało się dziś anachronizmem. Teza o apolityczności dawniej słuszna i konieczna — jest dziś tezą konserwatywną, nie biorącą pod uwagę doświadczeń i dążeń współczesnej ludzkości. Nie zapominajmy, że my sami kiedy mówimy o kulturze katolickiej czy też o poezji katolickiej, w samym tym określeniu uznajemy programowość tej kultury i tej poezji, chociaż oczywiście ten rodzaj programowości różni się od programowości politycznej; zasada jednak jest ta sama.

Jeśli ścisłe powiązanie twórczości kulturalnej z aktywnością polityczną jest osiągnięciem historycznym naszej epoki (co jest wynikiem dorośnięcia polityki do płaszczyzny ideologicznej i moralnej) to w chwili obecnej, chwili tak wyjątkowej, istnieją dodatkowe przyczyny, aby to powiązanie było jeszcze bardziej ścisłe. Istnieją bowiem w historii momenty przełomowe, kiedy maksimum energii człowieka zaangażowane jest w walce politycznej, od której wyniku zależy los najwyższych wartości społecznych. W takich momentach trzeba jasno powiedzieć: poezja albo będzie programowa, albo nie będzie poezją, lecz subtelnym pretekstem dla odosobnionych od życia społecznego jednostek, pretekstem do ucieczki przed tym, na czym się skupia uwaga i wysiłek większości społeczeństwa. Słusznie jest wtedy powiedzieć, że poezja z zasady bezprogramowa jest niczym więcej jak dowodem tragedii jednostek zamkniętych w sobie, jest demobilizującą propagandą.

ZDANIEM Lichniaka wystarczy osobiste świadectwo poety, świadectwo jego działalności praktycznej, aby móc osądzić czy przeżywa on swoją twórczość poetycką w „oderwaniu od zjawisk jakie go otaczają", czy też w „konkretnym przymierzu z faktami, które się liczą w sensie społeczno-politycznym". Innymi słowy, jeśli poeta w swoim życiu praktycznym nie jest „oderwanym", fakt ten powinien nam wystarczyć, gdyż musi to mieć również swój wyraz w jego poezji, która rzekomo przerasta programowość życia praktycznego.

Teza ta jest bardzo niebezpieczna. Stwarza ona podział w postawie człowieka wobec świata, ustalając sztuczną hierarchię między tym co jest „programowe", a tym co jest „ponadprogramowe". Oczywiście sfera aktywności ponadprogramowej (samo słowo „ponad" to narzuca) uważana jest za formę wyższą, prawdziwszą, głębiej wyrażającą jaźń artysty od aktywności społecznej podlegającej koniecznościom programowości. Rozróżnienie to, chociaż oczywiście nie leży w intencjach Lichniaka, przez sam fakt, że stawia twórczość poetycką „ponad" celami („ponad" ale nie w „oderwaniu") aktywności polityczno-społecznej (cele te są właśnie jej programem) spłyca stosunek człowieka do swoich zaangażowań w rzeczywistości, autonomizuje życie wewnętrzne od życia zewnętrznego, co jak wiemy, jest źródłem wszelkiego zakłamania.

Teza o nadprogramowości poezji jest tezą zbyt wygodną, aby mogła wyrażać postawę twórczą duchowo. Nie o to powinna walczyć krytyka katolicka. Istotne jest dla nas co innego. Istotne jest, aby poezja, od której żądamy czegoś więcej od mistycznego obcowania z duchem czasów, aby ta poezja programowa wyrażała c a ł e g o człowieka, zgodnie ze światopoglądem katolickim.

Niewątpliwie, są różnice w koncepcji człowieka u marksistów i u katolików. Inaczej w niektórych dziedzinach określa i opisuje człowieka poeta marksista, a inaczej poeta katolik. Na tej różnicy powinien się skupić spór ideologiczny. Wszystko inne jest nieistotne.

Zadaniem krytyki katolickiej jest więc walczyć o taką poezję, która będąc programową wyrażała by pełny obraz człowieka.

Przede wszystkim chciałbym podkreślić, że poezja programowa nie może się utożsamiać z pojęciem „wierszowanych programów". Niestety, zbyt wielu poetów tak ją pojmuje. Biorą oni hasła polityczne i podszywają potem pod nie „poezje". Ich formuła jest już z góry ustalona: tyle epickości, tyle liryzmu i tyle oburzenia.

Oddziaływanie takiej poezji nie jest mobilizujące, lecz szkodliwe. Jest ona przede wszystkim niepotrzebna i żadnej prawdy nie dodaje do suchych haseł walki politycznej. Hasła te dużo prawdziwiej brzmią pozostawione same sobie bez domieszki szablonowej epickości i szablonowego liryzmu. Nie jest to poezja programowa, lecz raczej programy z akompaniamentem pseudo poezji. Sztuczność takich zlepów rzuca się w oczy.

NIE wystarczy jednak wskazywać na braki, trzeba również wskazać jakie są, naszym zdaniem, przyczyny podobnych objawów. Poezja wyrażać musi konkretne istnienie człowieka czyli istnienie jednostki w całej skali jej potrzeb ludzkich, stosunków i aspiracji. Istnieje, owszem, hierarchia wartości, lecz właśnie dlatego ogólniejsze cele człowieka nie wykluczają jego bezpośrednich uczuć i potrzeb wewnętrznych. Heroizm polityczny, naczelna konieczność społeczna w momencie przełomowym dla ludzkości i dla narodu, nabiera najpełniejszego sensu właśnie w świetle najbardziej bezpośrednich, prywatnych że tak powiem uczuć, potrzeb i czynów człowieka. Rola poezji nowej, poezji programowej winna być właśnie taka: wiązanie konkretnego istnienia człowieka z jego ideałami i z jego programem społecznym; lecz poczynając że tak powiem od dołu, od najbardziej prostych i bezpośrednich jego uczuć.

Niesłusznie bowiem przeciwstawia się aktywność polityczną jednostki jej życiu prywatnemu uważanemu za coś moralnie niższego. Życie prywatne jednostki nie jest koniecznie „małe", lecz staje się nim kiedy zamknięte jest w sobie. Takie przeciwstawienie (rzadko formułowane, lecz podświadomie uznane przez wielu) tworzy sztuczny rozłam w psychice człowieka utrudniając powstanie wielkiej poezji ideologicznej. Poezja wskutek tego rozłamu musi się albo ograniczyć do zdobienia haseł politycznych w formy liryczne czy epickie (co jest niepotrzebne), albo musi stać się oderwana i pseudo-metafizyczna (co jest szkodliwe).

Chciałbym tu zaprotestować przeciwko nadużywaniu i fałszywemu posługiwaniu się określeniem „metafizyczna" przez niektórych krytyków katolickich w odniesieniu do poezji. Słowo to ma w filozofii katolickiej ścisłe znaczenie i nie ma powodu imitować dekadenckich tendencji artystycznych na zachodzie Europy, stosujących to słowo w poezji w innym znaczeniu, dla zamaskowania jej pustki. Prowadzi to do niesłusznej dyskredytacji pojęć metafizycznych.

WRACAJĄC do analizy trudności jakie napotyka w realizacji słuszna w swojej istocie koncepcja poezji programowej, wydaje mi się, że ściśle związany z deprecjonowaniem prywatnego życia jednostki jest fakt uproszczonej wizji epoki u wielu poetów. Wskazywał na to niedawno Lichniak w następujących słowach: „Wiemy wszyscy, że jest to epoka heroicznych wysiłków, epoka maksymalnych pojęć, wydobywających nowe wartości z człowieka. Wiemy, że wiedza o narodzinach tej epoki nie zawsze jest wiedzą radosną. Dlatego razi w poezji współczesnej brak wiedzy gorzkiej. Nie chodzi tu oczywiście o malkontenctwo, nie chodzi o zwykłe bęcwalenie się, ale o odważne spojrzenie na złożoność rzeczywistości. Tej odwagi poetom współczesnym nie dostaje. Ciągle jeszcze nie chwytają oni potrzebnej proporcji w ukazywaniu prawdziwej dynamiki naszego przełomu. Historyk, który na podstawie globalnego oglądu polskiej poezji współczesnej ustalałby kiedyś sąd o naszych dniach, mógłby dojść do wniosku, że były to dni radosnej sielanki, tylko entuzjastycznego zrywu, tylko bezbłędnie zorganizowanego optymizmu. Dlatego w świadomości poetów współczesnych wzrosnąć musi zrozumienie dla poznawczego waloru gorzkiej wiedzy, która radości zwycięstwa nada dopiero właściwy sens" („Przed nowymi zadaniami" — „Dziś i Jutro", nr 317-318).

Trzeba podkreślić, że wskazując na tę konieczność głębszego zrozumienia naszej epoki przez poetów, odcinamy się od wszelkiego „malkontenctwa". Dużo mówi się dziś w środowiskach katolickich całego świata o dramatyczności naszych czasów, żądając poezji „dramatycznej". Słowo to jest niebezpieczne. Często fałszywie rozumie się przez nie poezję znajdującą upodobanie w dramatyczności, poezję lubującą się w trudnościach moralnych, czyli poezję człowieka zapatrzonego w siebie, poezję niemocy i egocentryzmu. Niech przykład ekspresjonizmu zachodnio-europejskiego z pierwszych lat tego wieku będzie nauką. Ekspresjonizm wyrósł właśnie głosząc dramatyczność naszej epoki. Dzieła ekspresjonistów pełne są szczerego uczucia dramatyczności świata, pełne są nawet szczerego buntu przeciwko otaczającej ich cywilizacji. A jednak ich bunt nie był twórczy, będąc sam dla siebie celem.

Ekspresjonizm wykazał ostatecznie, że poezja stawiająca sobie za cel bierne „wyrażanie" człowieka skazana jest na niepowodzenie tak z punktu widzenia estetycznego jak i moralnego. Poezja musi dziś obok uczuć wyrażać również dzieło woli w wewnętrznym i zewnętrznym życiu człowieka, jego twórcze przełamywanie się z samym sobą, jego wysiłek wewnętrzny w osiąganiu wielkich celów, czyli wyrażać musi ducha ludzkiego nie w bezwładzie, ale w całej jego wszechstronnej dynamice. Hasło poezji programowej, choć pełne kruchości i niebezpieczeństw, wskazuje właśnie tę nową drogę, jaką poezja winna odtąd kroczyć.

Alfred Gawroński

NIKOLA ŠOP.

Wezwanie do drogiego Jezusa

Fragmenty

Jakże bym pragnął, byś raczył o Panie,
Odwiedzić dom mój i mój pokój właśnie,
gdzie zwykłe rzeczy wiszą na ścianie,
a za oknami wcześnie dzień gaśnie.

Mówiłbym Ci o naszej chacie,
o oknach, co bywają niebieskie, jak woda strumyka,
o drzwiach, przez które przechodząc wszyścy głowy schylacie
i o zamku, który się mocno zamyka.

Mówiłbym Ci przy naszych taniutkich cygarach
o każdym człowieku, zwykłym, prostym słowem:
o tym jak jeden zawsze nosi ubranie stare,
a drugi jak zawsze nosi ubranie nowe.

Mówiłbym Ci długo, aż byłoby słychać
krople rosy po oknie lecące.
Wtedy rzekłbym do Ciebie cicho:
— Utrudziłeś się Jezu, jesteś śpiący.

Połóż się, proszę, wnet Ci łóżko wskażę,
Tylko pościel najpierw troszeczkę poprawię.
Chciałbym twe czoło zbolałe owinąć pociechy bandażem.
Śpij tylko, a ja się prześpię na ławie.

tłumaczył z chorwackiego Marek A. Wasilewski

Andrzej TUCZEMBA

Po podpisaniu „układu ogólnego"

WALKA o zjednoczenie Niemiec a tym samym o stabilizację stosunków europejskich toczy się właściwie już od października roku 1949, to znaczy od powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Obfitowała ona w szereg momentów o dużym napięciu, a obecnie weszła w fazę szczególnego nasilenia. Począwszy od noty Związku Radzieckiego z dnia 10 marca br. do rządów U.S.A., Wielkiej Brytanii i Francji w sprawie zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami i utworzenia rządu ogólno-niemieckiego następuje wymiana kilku not między czterema mocarstwami. Postawione na arenie polityki międzynarodowej przez dyplomację Związku Radzieckiego założenie zjednoczenia Niemiec i zawarcia z nimi traktatu pokojowego, stało się przewodnim motywem politycznym całego obozu pokoju.

Trzy mocarstwa zachodnie nie mogły w sposób wyraźny zbojkotować propozycji radzieckich zmierzających do zjednoczenia Niemiec i do zawarcia z nimi traktatu pokojowego. Nie pozwalała im na to obawa przed nastrojami własnych społeczeństw, jak również obawa utraty prestiżu i zaufania społeczeństwa zachodnio - niemieckiego, w którego interesie, rzecz prosta, leży zjednoczenie ich kraju i zawarcie traktatu pokojowego. Dlatego też mocarstwa zachodnie nie odrzucając wprost propozycji radzieckich, usiłują przeciągać wymianę not w nieskończoność, a jednocześnie stwarzać fakty dokonane, pogłębiające rozbicie Niemiec.

Oto atmosfera polityczna w jakiej dojrzewał w Bonn tak zwany „układ ogólny", który podpisał Adenauer z przedstawicielami U.S.A., Anglii i Francji w poniedziałek 26 maja. Układ ogólny miał w tej sytuacji dać społeczeństwu zachodnio - niemieckiemu pozór traktatu pokojowego. Oczywiście, w opinii przeciętnego Niemca nawet ten pozór nie da się utrzymać, ponieważ „układ ogólny" ani na jotę nie zmienia sytuacji politycznej Niemiec zachodnich w sensie faktycznym. Republika Federalna pozostanie dalej okupowana przez armię mocarstw zachodnich, a konsekwencje podpisanego aktu będą miały charakter czysto formalny i prestiżowy, a nie merytoryczny. To że wysoki komisarz Stanów Zjednoczonych w Bonn zacznie się nazywać ambasadorem, nie będzie miało najmniejszego wpływu na sytuację obywatela Republiki Federalnej, natomiast sytuacja ta będzie w dużej mierze zależeć od tego czy obywatel Niemiec zachodnich będzie ponosił, czy też nie, koszty utrzymania okupacyjnych armii mocarstw zachodnich.

Toteż znaczenie „układu ogólnego" polega nie na fikcji politycznej, jaką stanowi on dla Niemiec, ale na tym, że „układ ogólny" jest podstawą dla planów politycznych mocarstw zachodnich, zmierzających do zatwierdzenia tworzonego Wehrmachtu w sensie prawno - międzynarodowym oraz włączenia go do agresywnego bloku atlantyckiego. Chodzi o to, że rządy trzech państw zachodnich muszą mieć podstawę formalną, na zasadzie której armia zachodnio - niemiecka z niemieckimi generałami na czele stanie się pełnoprawnym i równorzędnym partnerem tworzonej armii zachodnio europejskiej i jej najsilniejszą częścią składową. Mocarstwa zachodnie, zresztą, tych swoich planów wcale nie ukrywają i Obóz pokoju nie potrzebuje ich specjalnie rozszyfrowywać. Przeciwnie, mocarstwa zachodnie bardzo jasno stawiają kwestię, że „układ ogólny" zawarto po to by swobodnie tworzyć zachodnio - niemiecki Wehrmacht i włączyć go do armii zachodnio - europejskiej. Wyraźnym dowodem tego jest fakt, że układ w sprawie utworzenia tzw. „zachodnio - europejskiej wspólnoty obronnej" podpisano w Paryżu już następnego dnia po zawarciu „układu ogólnego". Zainteresowani ministrowie musieli się bardzo śpieszyć by zdążyć na samolot z Bonn do Paryża.

ZAWARCIE „układu ogólnego" wywołało w całym świecie, a w szczególności w Niemieckiej Republice Demokratycznej głębokie oburzenie. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że, mimo iż „układ ogólny" stwarza w sytuacji międzynarodowej napięcie jakiego jeszcze nie było, to jednak wszystkie oficjalne wystąpienia kół i czynników rządowych Niemieckiej Republiki Demokratycznej wskazują wyraźnie, iż NRD nie wyrzeknie się poszukiwania nowych metod zjednoczenia Niemiec na drodze pokojowej. Rzecz prosta obóz pokoju nie może odpowiedzieć na „układ ogólny" sankcjonujący Wehrmacht zachodnio - niemiecki własną bezbronnością, toteż Rada Narodowa Frontu Narodowego Niemieckiej Republiki Demokratycznej uchwaliła, że gdy zajdzie potrzeba NRD będzie bronić swego pokojowego porządku przez utworzenie armii niemieckiej, służącej wyłącznie dla obrony bezpieczeństwa kraju.

Bezpośrednie niebezpieczeństwo wojny związane z zawarciem „układu ogólnego" między Adenauerem a Achesonem, Edenem i Schumanem ma ścisły związek ze sprawą polską i z polską polityką zagraniczną.

Polskim interesom narodowym odpowiada w konkretnych aktualnych warunkach międzynarodowych tylko jedno rozstrzygnięcie problemu niemieckiego. Rozstrzygnięcie to polega na zjednoczeniu Niemiec na bazie pokojowej. Ta baza pokojowa to konkretnie takie ustawienie niemieckich problemów międzynarodowych, jakie przyjmuje dzisiaj Niemiecka Republika Demokratyczna, uznająca granicę na Odrze i Nysie, jako granicę pokoju. Nie znaczy to, by zjednoczone Niemcy miały i musiały być kopią dzisiejszej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Znaczy to natomiast, że zjednoczone Niemcy, będąc wyrazem tych wszystkich tendencji, które stanowią dzisiaj zestaw sił politycznych zarówno we wschodnich jak i zachodnich Niemczech, byłyby poparciem takiego rozwiązania problemu niemieckiego, jakie wynika z układu poczdamskiego podpisanego przez wszystkie pięć mocarstw.

Otóż takie rozwiązanie sprawy leżące w interesie narodu polskiego i wynikające z chęci naprawienia błędów popełnianych przez kilkadziesiąt lat w polityce europejskiej wobec Niemiec, jest reprezentowane konsekwentnie tylko przez Związek Radziecki. Jeszcze w ostatniej nocie ZSRR skierowanej do USA, Wielkiej Brytanii i Francji dnia 24 maja br, a więc na dwa dni przed zawarciem „układu ogólnego" rząd radziecki ponownie proponując niezwłoczne przystąpienie do bezpośrednich rokowań w sprawie traktatu pokojowego z Niemcami i utworzenie rządu ogólno - niemieckiego, domaga się znowu rozwiązania kwestii terytorialnej Niemiec na podstawie postanowień poczdamskich, które ustanowiły granicę na Odrze i Nysie. Każde inne rozwiązanie kwestii granic jest sprzeczne z polską racją stanu. Nic więc dziwnego, że naród polski z olbrzymim zainteresowaniem śledzi propozycje radzieckie i ich oddźwięk zarówno u rządów mocarstw zachodnich, jak i przede wszystkim w niemieckiej opinii publicznej.

Tymczasem wszystko to, co zmierzało do zawarcia „układu ogólnego", a tym samym służyło tworzeniu zachodnio - niemieckiego Wehrmachtu, było diametralnie sprzeczne z polskim interesem narodowym. Rozumowanie kategoriami politycznymi wymaga trzeźwości. A ta trzeźwość mówi nam dzisiaj, że nikt jeszcze w historii nie dawał własnej armii, życia własnej młodzieży za darmo. A jeśli się nawet takie wypadki zdarzały, to nie mamy żadnych podstaw, aby przypuszczać, że rewizjoniści zachodnio - niemieccy chcą oddać krew własnej młodzieży dla celów trzeciej wojny światowej zupełnie bezinteresownie. Na pewno mają oni bardzo konkretny interes, i rozumieją dobrze, że uda się on tylko wtedy, gdy dostarczą imperializmowi amerykańskiemu ludzi chętnych do walki. W konkretnej sytuacji międzynarodowej Niemiec głównym interesem, jaki chcą zrobić rewizjoniści zachodnio - niemieccy jest odebranie Polsce terytoriów na wschód od Odry Nysy. Inaczej nie można wytłumaczyć udziału Niemiec w montowaniu agresywnej armii europejskiej.

TO WSZYSTKO stawia naród polski wobec faktów politycznych, którym jeżeli nie będziemy przeciwdziałali, to stracimy wielką szansę historyczną jaką uzyskała Polska po drugiej wojnie światowej oparłszy się o brzegi Odry i Nysy. Więcej jeszcze, nie przeciwdziałając rewizjonizmowi nie tylko stracilibyśmy tę wielką szansę historyczną, ale narazilibyśmy się na podważenie podstaw naszego istnienia państwowego i narodowego. Niebezpieczeństwo takie oczywiście nie zachodzi. Moralno - polityczna jedność narodu polskiego dojrzewała przez te lata kiedy imperializm amerykański wespół z rewizjonizmem zachodnio - niemieckim powoli gotował swe plany antypokojowe i antypolskie. Zadania przed jakimi dzisiaj staje naród polski polegają na jeszcze większym wzmocnieniu wewnętrznej jedności, na pogłębieniu dojrzałości myślenia politycznego i oceny sytuacji międzynarodowej. Odnosi się to przede wszystkim do społeczności katolickiej w Polsce, która przecież stanowi istotny składnik Frontu Narodowego.

Na czym więc ma polegać owe pogłębienie rozumienia sytuacji międzynarodowej? Wydaje się, że jedną z najdonioślejszych spraw, jakie winny ugruntować się w świadomości polskiego społeczeństwa jest konieczność traktowania sprawy niemieckiej w kontekście wszystkich innych problemów politycznych, składających się na całość układu sił i sytuacji światowej. Zagadnienie niemieckie nie jest wyodrębnione z problematyki politycznej rozgrywającej się dziś na świecie, a jest funkcją właśnie tej problematyki, choć stanowi ono w tej chwili problem dla pokoju niesłychanie ważny. Dlatego nie można występować przeciwko rewizjonizmowi niemieckiemu bez jednoczesnego wystąpienia przeciwko tym wszystkim siłom politycznym, które stanowią moralne i polityczne zaplecze rewizjonizmu. W związku z tym trzeba zdawać sobie sprawę, że „układ ogólny" jest nie tylko wynikiem rewizjonizmu zachodnio - niemieckiego, ale także wynikiem agresywnych zamiarów rządu USA. Dlatego w dzisiejszej sytuacji politycznej wrogiem interesu polskiego jest nie tylko rząd Adenauera w Republice Federalnej, ale także rząd Stanów Zjednoczonych. Nic się nie dzieje w Europie zachodniej, a w szczególności w Niemczech zach. bez wiedzy i woli odpowiednich czynników politycznych Stanów Zjednoczonych. Obecna sytuacja w Niemczech zach. jest funkcją polityki Departamentu Stanu, nie można więc skutecznie bronić polskiej współczesnej racji stanu przeciwko rewizjonizmowi, nie występując jednocześnie przeciwko imperializmowi rządu USA.

MORALNO - polityczna jedność narodu polskiego w proteście przeciwko „układowi ogólnemu" i tym wszystkim procesom politycznym, jakie do jego zawarcia prowadziły, nabiera tym większego znaczenia, że istnieją na emigracji polskiej koła polityczne, które bardzo poważnie zaangażowały się w zaprzedanie polskiego interesu narodowego.

Trzeba na całym świecie wytworzyć przekonanie, że ludzie ci nie mają nic wspólnego z polską opinią publiczną, która w całym kraju jest jednolita i broni współczesnej racji stanu narodu i ludowego państwa. Dlatego też warto zaznajomić nasze społeczeństwo z praktykami londyńskiej emigracji prowadzącej już od szeregu lat niecne rozmowy i rozważania na temat oddania polskich Ziem Zachodnich. Ziemie te mają być ceną, jaką naród polski zapłaciłby za uznanie przez mocarstwa zachodnie polityków emigracyjnych reprezentantami narodu polskiego. Wychodzący w Winnipegu tygodnik „Czas" w numerze 5 z dnia 30 stycznia 1952 r. zamieszcza artykuł Antoniego Dargasa z Londynu pod tytułem „Naiwność i głupota". W artykule tym czytamy m. in.:

„Dopiero z prasy niemieckiej opinia polska dowiedziała się o jakichś rozmowach polsko-niemieckich, które niedawno prowadzone były w Paryżu.

Tygodnik niemiecki „Volksbote" z 10 listopada przedrukowuje komunikat z „rozmów polsko - niemieckich", a tuż pod nim dodaje od siebie: „rezultat tych rozmów jest znaczny, jest większy, aniżeli można było oczekiwać po pierwszym spotkaniu... jest to pierwszy wypadek, że grupa polityczna polskiej emigracji potępiła masowe wysiedlenie, uznała prawo do dziedzicznej ojcowizny..."

Po tym wszystkim pismo niemieckie w sposób jak najbardziej kategoryczny pisze: „akty te obejmują sprzeczne z prawem międzynarodowym włączenie terytoriów wschodnich, znajdujących się pod polską administracją do państwa polskiego... W ten sposób zagadnienie granicy niemiecko - polskiej zostało otwarte...

Komunikat z tych rozmów niemiecko - polskich jest podobny do umowy zawartej między Niemcami Sudeckimi a Czeską grupą Prahli..."

Prasa emigracji polskiej na Zachodzie jest pełna wzajemnych oskarżeń, z których wynika niezbicie, że wszystkie grupy w gruncie rzeczy zajmują się handlowaniem polskimi ziemiami, nad którymi chwała Bogu nie mają władzy.

Zacytujmy jeszcze jeden urywek z emigracyjnego pisma dowodzący, że chociaż emigranci wstydzili się publicznie przyznać do prowadzenia rozmów z zachodnimi Niemcami, o których dowiedziano się dopiero z prasy niemieckiej, to jednak przygotowują oni jawne wszczęcie pertraktacji z Niemcami i tworzą całą „teorię" zdrady interesu polskiego. Wychodzące z Sztokholmie sanacyjne „Wiadomości" w artykule z numeru 480 z dnia 1.4 1952 piszą...

„Zajmowanie pryncypialnego stanowiska, że w ogóle wykluczamy wszelką dyskusję na temat granic w dzisiejszym układzie sił międzynarodowych i wobec perspektyw, które nam ten układ przedstawia — nie jest polityką. Jest uchylaniem się przed polityką i związaną z nią odpowiedzialnością... Debata na temat najważniejszego zagadnienia przyszłej wolnej Polski prowadzona przez polską publicystykę emigracyjną nie ma i nie może mieć innego znaczenia niż podkreślanie, że jesteśmy, że wiemy co się koło nas dzieje i że w odpowiedniej chwili będziemy gotowi zabrać głos... Zresztą skąd te tabu, jeśli chodzi o głosy wolnych polskich publicystów w sprawie przyszłych stosunków polsko-niemieckich? Przed wojną nasze MSZ rozmawiało z Hitlerem a Göringa zapraszano na polowania do Białowieży — dlaczego wykluczamy teraz wszelkie możliwości sondowania niemieckiej opinii w sprawach polskich, opinii reprezentowanej w tej chwili przez katolika Adenauera".

Nie dziwimy się, że przedstawiciele sanacji na emigracji stwierdzają: można było rozmawiać w Hitlerem i dyskutować z Göringiem na polowaniach w Białowieży, dlaczego więc nie robić dziś tego samego z Adenauerem, który do tego wszystkiego mówi jeszcze, że jest katolikiem, co powinno być okolicznością sprzyjającą. Nie dziwimy się temu stanowisku, bo znamy je z przed wojny i wiemy jakie wyniki ono przyniosło i z jakich kół klasowych pochodzi. Na szczęście jednak koła te nie tylko nie mają najmniejszego wpływu na polską politykę i opinię publiczną, ale co więcej nie zasługują one nawet na zaliczenie ich do narodu polskiego.

Społeczeństwo polskie zerwało zupełnie z takimi ludźmi i z takim sposobem myślenia. Społeczeństwo polskie nawiązało natomiast współpracę z tymi Niemcami, którzy podobnie jak my myślą o zjednoczeniu swej Ojczyzny na bazie pokojowej. Głęboki protest jaki wywołał zarówno w społeczeństwie polskim jak i w społeczeństwie niemieckim „układ ogólny" umocnił jeszcze więz wspólnych celów obu naszych narodów przeciwko zdrajcom zarówno spod znaku Adenauera jak i jego emigracyjnych rozmówców.

„Układ ogólny" stworzył bardzo poważne napięcie sytuacji międzynarodowej, ale jednocześnie zdynamizował on siły pokoju zarówno w Niemczech jak i w Polsce i we Francji. Idea zjednoczenia Niemiec nie jest bynajmniej pogrzebana, choć układ ogólny pogłębił ich rozbicie i zwiększył trudności zjednoczenia.

O sprawie zdecyduje postawa społeczeństw i na tę siłę liczymy.

SP. WYD. „PAX"

zawiadamia, że następujące książki są do nabycia w Biurze Sprzedaży, Warszawa, Mokotowska 43, po wpłaceniu należności na konto PKO. I-8515/114

BRUCE MARSHALL
CHWAŁA CÓRY KRÓLEWSKIEJ
powieść — cena — zł 20.—

GEORGES BERNANOS
PAMIĘTNIK WIEJSKIEGO
PROBOSZCZA
powieść — cena — zł. 27.—

ALEKSANDER RYMKIEWICZ
PRZYGODY GUCIA PINGWINA
książka dla dzieci — cena zł. 10.—

JULIUSZ NOWAK DŁUŻEWSKI
KS. STANISŁAW KONARSKI
monografia historyczna — cena zł 20.—

GRAHAM GREEN
BROŃ NA SPRZEDAŻ
powieść — cena zł. 22.—

*

ARKUSZE POETYCKIE
— cena zł. 12.—

PAWEŁ JASIENICA
WISŁA POŻEGNA ZAŚCIANEK
reportaż — cena — zł. 20.—

G. K. CHESTERTON
PRZYGODY KSIĘDZA BROWNA
nowele — cena zł. 18.—

JAN DOBRACZYŃSKI
GWAŁTOWNICY
esseye — cena zł. 22.—

JERZY LIEBERT
POEZJE ZEBRANE
cena — zł. 25.—

SIGRID UNDSET
OLAF SYN AUDUNA I TOM
powieść — zł. 33.—

WŁODZIMIERZ WNUK
WIOSNA NAD MOTŁAWĄ
reportaż — zł. 20.—

ANDRZEJ ŁEPKOWSKI
LUDZIE ZNAD ZATOKI
powieść — zł. 15.—

DANIEL ROPS
OD ABRAHAMA DO CHRYSTUSA
cena — zł. 30.—

KRYSTYNA WRÓBLEWSKA
OJCZE NASZ
drzeworyty — cena zł. 35.—

Zbyszko BEDNORZ

Kazimierz Gołba napisał dzieło...

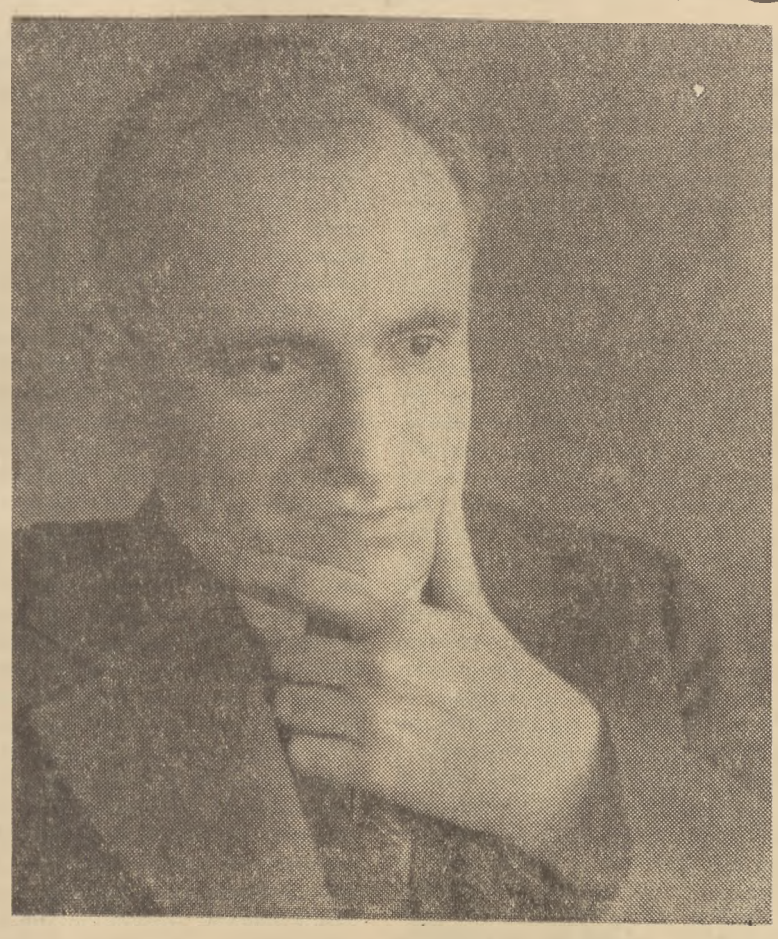

DO GRUPY pisarzy walczących niestrudzenie o sprawiedliwość społeczną i postęp na świecie należał zmarły niedawno śląski działacz — Kazimierz Gołba.

Ostatnich dwanaście lat życia Kazimierz Gołba przesiedział w fotelu na kółkach w mieszkaniu, które musiało mu wystarczyć za kościół, za ulicę, za teatry, sale koncertowe, parki i ogrody. Mimo, że był przez tak długie lata cierpiącym, żył pełnym życiem pisarza i obywatela, wyczulonego na najistotniejsze zjawiska dziejące się wokół niego.

Osobowość Gołby zarysowała się dosyć wcześnie. Gdy bardzo uzdolniony młody rzeszowiak znalazł się w r. 1926 na posadzie nauczyciela gimnazjalnego w Szopienicach na Górnym Śląsku, miał już poza sobą czynne i ruchliwe lata akademickie w Krakowie, w czasie których rozpoczął się jego start literacki. Pisywał jako student m. in. do miesięczników katolickich „Wiara i życie", „Sodalis marianus", a także do świeżo założonego przez ojca Maksymiliana Kolbe „Rycerza Niepokalanej". Mając lat 23 (r. 1927) mimo wielorakich zajęć złożył doktorat z historii. W tym czasie oprócz pracy pedagogicznej, angażuje się w pracę społeczno-oświatową, stając po stronie tych, którzy walczyli z reżimem, zmierzającym niedwuznacznie do faszyzmu. Oczywiście jego bunt i walka sprowadzają nań dotkliwe razy. Ale Gołba miał kark zbyt sztywny, by się ugiąć. Czego chciał, co go bolało, do czego dążył? Odpowiedź dają dziś jego powieści i dramaty, jego spuścizna literacka.

W GŁOŚNEJ powieści, zatytułowanej „Młodzieżowcy", która narobiła wiele wrzawy z powodu swego demaskatorskiego charakteru, mówi Gołba o podobnym do siebie człowieku, w którym pod wpływem ciosów i degradacji społecznych narodził się inny człowiek, człowiek wiążący się z „innym światem bardzo dalekim od pałkowładnych geniuszów i wszelkiej elity w ogóle. Był to świat szarych ludzi, rządzonych nie rządzących, bez prawa własnego głosu. W świecie tym nie był jeszcze człowiek człowiekowi policjantem. Był to świat przyszłości, nadchodzącego jutra: w poszukiwaniu idei, zdolnej kształtować losy narodu i państwa — tam biegły wszystkie drogi... Bowiem cokolwiek się stanie, jutro musi być inne..." Takie były myśli buntownicze Gołby. Widział on całą krzywdę ludu śląskiego, narażonego na jakże ciężki los pod rządami ludzi nie orientujących się w narastających groźnych problemach społecznych, gospodarczych i narodowościowych na Śląsku, tej ziemi od dawna wyzyskiwanej i eksploatowanej przez obcy kapitał. „Młodzieżowcy" oraz posiadający tę samą tematykę „Rekruci" (utwór dramatyczny) były protestem przeciwko rutyniarstwu pedagogicznemu, przeciwko „państwowotwórczym" metodom pracy, stosowanym przez urzędników-sierżantów, wobec głodnej i wystraszonej młodzieży. Bił przy tym Gołba na alarm, sygnalizując niebezpieczeństwo hitleryzmu, który swymi chciwymi mackami coraz śmielej sięgał na pogranicze zachodniej Polski. „Rekruci" uderzali śmiało w system sanacyjny, toteż nie dziw, że dzieło to zyskało ogromne powodzenie w społeczeństwie, jednak trafiona celnie władza zakazuje w kilka dni po premierze dalszego wystawiania utworu. Powstaje skandal; ówczesna katowicka „Polonia" pisała z oburzeniem: „Wystawienie „Rekrutów" na scenie katowickiej stało się w pewnych sferach przysłowiowym kijem w mrowisku; za to w gronie nauczycielskim powitano ukazanie się tej sztuki z westchnieniem ulgi, jak powiew świeżego powietrza... Podobno sprężyną tej akcji zawieszenia sztuki było kilka osób" — które występowały rzekomo w imieniu Związku Nauczycielstwa, grupującego 40 tys. nauczycieli; „wobec brutalnego szantażu kilku samozwańców, polskie sfery kulturalne powinny zająć zdecydowane stanowisko. Obrażony został honor sceny, znowu dokonano nadużycia..."

TAK było z „Rekrutami", zaś za „Młodzieżowców" usunięty został autor ze stanowiska profesora gimnazjalnego i przeniesiony służbowo na nauczyciela szkoły powszechnej (posiadając pełne kwalifikacje i tytuł doktora filozofii). Lecz Kazimierz Gołba nie liczył się z atakami nienawiści starającymi się dotknąć go materialnie i moralnie. Pisał w dalszym ciągu, coraz bardziej przekonując się o słuszności raz obranej drogi. Wkroczył już na nią kilka lat wcześniej swą historyczną powieścią zatytułowaną: „W cieniu wielkiej legendy", mówiącą o rewolucyjnych latach 1830-31 w Europie. Im bliżej tragicznego spięcia historii, tj. roku 1939, tym ostrzej zdołał się widzieć pisarz zagadnienia polskie i europejskie. Kilkanaście dni przed wybuchem wojny zawołał głośno w jednym ze swych utworów, że słyszy dzwony Opolszczyzny, jęczącej pod terrorem hitlerowskim, dzwony wołające na alarm. To śmiałe żądanie powrotu do Macierzy żywego kawału Ojczyzny sprowadziło do jego mieszkania w przeddzień napaści Trzeciej Rzeszy na Polskę czterech uzbrojonych bojówkarzy hitlerowskich, którzy go brutalnie pobili.

Umiłowanie człowieka, pracy, walka z krzywdą społeczną, gorąca, lecz nie nacjonalistycznie pojęta, miłość Ojczyzny, walka z nazizmem, rasizmem, z piłsudczyzną, z ozonizmem, były głównymi przyczynami nienawiści u faszystów rodzimych i obcych i powodem prześladowań pisarza. Ta piekielna nienawiść do prawego humanisty, do polskiego i katolickiego pisarza, zamknęła Kazimierza Gołbę w gestapowskiej kaźni już w 9 dni po zdobyciu Katowic przez Hitlera. Bezpośrednim powodem aresztowania było znalezienie maszynopisu jego antyhitlerowskiej i antysanacyjnej powieści pt. „Z dwu stron barykady", poruszającej m. in. zagadnienie tzw. „powrotu" Zaolzia do polski. W parę tygodni później Gołba leżał w kostnicy więziennego szpitala przy ul. Montelupich w Krakowie z przetrąconym kręgosłupem i z tak zmiażdżonym ciałem, że długie tygodnie nie wiedziała pani Helena Gołbowa, żona pisarza, której udało się wydostać konającego przy pomocy lekarza więziennego, Czecha, i przy pomocy ks. Wiktora Siwka z Janowca z kostnicy, czy to mąż, czy obcy jakiś inny męczennik (kilka tygodni leżał bez świadomości, twarz zbita do niepoznaki). Od tego czasu t.j. od powrotu do domu w październiku 1939 roku, w wieku lat 35 stał się kaleką unieruchomionym tragicznie i boleśnie do końca życia.

NAGRODĄ i pocieszeniem w tych cierpieniach była szczera przyjaźń zwłaszcza ze strony prostych ludzi śląskich, za których sprawę walczył i był prześladowany. Mawiał nieraz: „kto Śląskowi odda swoje jedno serce — Śląsk da mu w zamian dwa serca". W istocie — otaczała tego serdecznego i roztropnego pisarza gorąca przyjaźń i sympatia. Bo też umiał Gołba zajmować trzeźwe stanowisko w różnych kwestiach skomplikowanej problematyki narodowościowej na Śląsku. Bronił, gdy różni ludzie, czy to niedouczeni, czy posiadający złą wolę, czy nieznający zagadnienia, wbrew wyraźnemu stanowisku Polski Ludowej i wbrew prawdzie mówili o zdradzie Ojczyzny, jakiej rzekomo mieli się dopuścić Ślązacy. Odkrywał złożoność kwestii społecznych i narodowych tego terenu, wygrzebywał z historii i współczesności śląskiej najkapitalniejszy kruszec, by go przetapiać w dzieła literackie, w dramaty, powieści, w opowiadania. Po wojnie przysporzył literaturze polskiej kilka wartościowych utworów, zwłaszcza w dziedzinie dramatycznej. Do nich należą: „Lompa" — sztuka z czasów wiosny ludów na Śląsku (prapremiera w Państwowym Teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach w r. 1945), „Diabeł czy nie diabeł" (prapremiera w Państwowym Teatrze w Sosnowcu w r. 1947), „Dziki książe" (prapremiera w Państwowym Teatrze w Bielsku w r. 1947), „Zdrajca", „Nad Odrą staje zorza" (nagrodzona na konkursie Zw. Powstańców Śląskich w r. 1946), „Nysa mści się" (nagrodzona na konkursie Ziemi Nyskiej w r. 1948).

Kazimierz Gołba zadziwiał ruchliwością, umysłu i niezmordowaną pracą, którą kontynuował mimo fizycznego unieruchomienia. Prócz wspomnianych wyżej tytułów wypada jeszcze zanotować powieść o obronie Katowic we wrześniu 1939 r. wydaną w r. 1946 oraz niewydane dotąd powieści „Klątwa ludom", „Dziennik Joli" i „Bitwa o pokój". Gdy do tego dodać współpracę literacką z wieloma pismami, tygodnikami i miesięcznikami w Polsce, gdy dodać, że nie zaniedbywał się w lekturze, że żył praktycznym życiem Kościoła i rodziny, zarysuje się nam sylwetka uczciwego człowieka pracy i modlitwy.

W CZASIE jednego ze swych ostatnich ataków w obecności księdza i rodziny, gdy paliło się gromnicę przy cierpiącym strasznie pisarzu, rzekł bezkrwistymi wargami: „Szkoda, że z tej choroby już nie wyjdę, napisałbym wam powieść o człowieku marnym, który nawet porządnie skonać nie może". Był bardzo surowy dla siebie. Wiele od siebie wymagał, rzeźbił w sobie mozolnym trudem cnoty ofiary i poddania się woli Bożej bez szemrania. Umarł w swym krześle, w pozycji człowieka czynnego. Pół godziny przed śmiercią otrzymał list ekspress-polecony z zamówieniem noweli dla „Królowej Apostołów", wydawanej przez ks. ks. Pallotynów. Ożywił się nadzwyczajnie, szepnął: „O, mam już pomysł, świetny, napiszę dobrą, mocną rzecz, tylko żebyście nadążyli za moim dyktandem..."

Napisał dobrą, mocną rzecz: przeżył po chrześcijańsku życie.

Zbyszko Bednorz

Włodzimierz WNUK

LIST Z WYBRZEŻA

„Ostatnie ognie" w ogniu dyskusji

JEDNYM z ciekawszych wydarzeń kulturalnych Wybrzeża było w ostatnich tygodniach zebranie Z.L.P., które ożywił swoim referatem autor „Żywiołów" omawiający ostatnią powieść autora „Dna miski".

Po krótkiej ocenie dotychczasowego dorobku Zielińskiego, Koźniewski przystąpił do bliższego omówienia „Ostatnich ogni", malujących obraz emigracji polskiej na zachodzie Europy w momencie dopalania się ostatnich ogni II wojny światowej. Do aktywów powieści zaliczył prelegent przede wszystkim jej doskonałą formę literacką, wyrażającą się w znakomitym stylu, niezwykłej żywości języka, w umiejętności prowadzenia dialogu, w zaskakujących paradoksach. Jest to bodaj pierwsza i jedyna powieść satyryczna w naszej literaturze powojennej, powieść, w której satyra ma tendencję do przerodzenia się w dużej klasy groteskę.

Przy tych wszystkich swoich wartościach książka jest jednak za mało umocniona „intelektualnym mięsem", nie ma w niej mądrości pisarza realistycznego mimo, że autor jest na drodze ku metodzie realizmu socjalistycznego (ukazuje nam podłoże klasowe wydarzeń, nici społeczno-polityczne różnych spraw). Ciągle ślizgamy się w powieści po błyskotliwej tafli słów, ale nie ma w niej tych głębokich korzeni, z których dopiero wyrasta zaufanie czytelnika. Błędem konstrukcyjnym jest to, że port-parolem autora stał się zupełny szaraczek (Masłowiec), który jak korek na fali daje się wszystkiemu ponosić, nie potrafiąc zająć wobec wydarzeń własnego, zdecydowanego stanowiska. Uwagi swoje, wypowiedziane z dużą swadą, zamknął Koźniewski w słowach: Zieliński zatrzymał się w połowie drogi między oceną krytyczną społeczeństwa kapitalistycznego a realizmem socjalistycznym nie dając nam jeszcze całej prawdy społecznej, ale po drodze tej zebrał autor piękny kosz kwiatów artystycznych...

Dyskusja nad „Ogniami" była rzeczywiście ognista.

Co w książce zaatakowano, co jej wytknięto? A więc to, że jest pogmatwana, poszarpana, chaotyczna, sprawiająca wrażenie filmu o niedostatecznych objaśnieniach. Cytowano opinie przeciętnych czytelników, którzy narzekają na ten chaotyczny charakter powieści, pozbawionej „porządnego" wątka fabularnego (porównywano ją pod tym względem z „Pokoleniem"). Groteskowość książki nie działa tak, jak powinna, ponieważ kukiełkowate jej postacie nie są zindywidualizowane, zamazują się, rozpływają (w „Klubie Pickwicka" np. mają one swój własny wyraz, pamiętamy je). Do rzędu istotniejszych zarzutów należało stwierdzenie, iż autor przesadził w ośmieszaniu emigracji, że wprowadził do książki błazeńską atmosferę, przez co osłabił czujność wobec niebezpieczeństwa emigracyjnego! Zacieśniając krąg obserwacji do marginesów społecznych pisarz odszedł od realizmu, a zbytnim przejaskrawieniem faktów wydatnie stępił ostrze oręża walki ideologicznej, jakim miała być ta satyryczna powieść o naszej emigracji.

Replikował na zakończenie Koźniewski i to z pasją, nie godząc się z większością zarzutów postawionych książce w czasie dyskusji. Zaoponował stanowczo przeciw określeniu „groch z kapustą", jakiego użyto w stosunku do konstrukcji powieści twierdząc, że jest ona wcale precyzyjna choć raczej nowelistyczna. Przyznając stylowi Zielińskiego pewne przerosty ekspresjonistyczne jeszcze raz zaakcentował piękno jego języka i niezwykłą żywość. „Mało kto pisze dziś u nas tak pięknym językiem" — podkreślił z naciskiem autor „Żywiołów". A że powieść jest przejaskrawiona? Trudno było wymagać od Zielińskiego, żeby aptekarsko odmierzał zalety i wady ludzi z emigracji — powieść satyryczna ma swoje prawa, zwłaszcza, gdy jest wymierzona przeciwko takiemu środowisku, jak nasza emigracja polityczna. Tak jak ją pisarz odmalował, odmalował najlepiej.

Nazajutrz odjechał Koźniewski do Bydgoszczy by dalej wojować „Ostatnimi ogniami". A literaci gdańscy zakasali rękawy do nowej rozprawy, tym razem z żywiołem wodnym. Na wokandę bowiem sekcji twórczej weszło „Światło na maszcie" — Ireny Przewłockiej — pierwsza powieść o marynarzach Polski Ludowej. Ale o niej — już następnym razem.

Wanda CHYLICKA

SPLĄTANE

PROBOSZCZ Kościoła św. Mikołaja w Gdańsku, spozierając na swój lśniący trzewik, rozcierający żwir zakopiańskiej dróżki na halę, uśmiechnął się pełen zdrowego zadowolenia. Ruchy miał krzepkie, serce po latach okupacji niemal w porządku i przeskok z wilgotnej wiejby od morza w wysokie turnie radował go, jak chłopca, który przechytrzył surowy regulamin szkolny, nie tracąc nic z dobrej opinii w oczach przełożonych. Usiadł na ławce i wyrównał kant czarnych nogawic, szytych starannie jak świeckie. — Światu co mu się należy. Szaty do służby Bożej — co Bożego Bogu — równie starannie spakowane były w walizce.

Spoczywał obok turystycznego szlaku do Kuźnic, chłonął szeroki oddech i czuł, że daje mu on więcej z tego co potrzebne niż wichrem wpędzony w gardło oddech morza. Oparł się wygodnie o ławkę, twardo osadzoną w ziemi i niechybotliwą, jak łódka na niepewnych głębiach. Smreki, silne a siwawe, dawały cień i kołysały szumem, ktorego wymowę rozumiał jako hymn zgody między Bogiem a stworzeniem. Podobnie potok rzucał swe odwieczne rytmy o kamienie, coraz okrąglejsze i skowronek ciskał w niebo głos chwały. Gładka wstążka wody, uregulowanej pod papiernią, służyła ludzkiemu pożytkowi, sunąc jednostajnie jak odwalana skiba a szum jej przerywał ostry stuk kutych butów turystów, uderzający w gościniec niby kowalski młot w podkowę. Opustoszały szałas wśród omszałych głazów, obalonych pni i białe owce na zboczu — taki właśnie obraz wymarzył proboszcz, myśląc o chwilach odpoczynku.

W willi, skrytej w smrekach, skrzypnęła furtka i młody człowiek prowadził ku ławce starca w sutannie, zbyt długiej na skurczoną postać, ozdobionej pasem fioletu. Otuliwszy go w koce odszedł. Proboszcz odprowadził młodego wzrokiem, ciekaw zawsze tego, co żywe i ruchliwe, potem dopiero zainteresował się starcem, który, jak sądził, nie wniesie żadnych zmian w spokojny rytm wody, szelest gałęzi i nastrój pełen czaru. W następnej chwili jednak starzec gwałtownym gestem obrócił ku niemu twarz i proboszcz zmieszał się pod ostrym spojrzeniem oczu zza okularów. Stary ksiądz utkwił wzrok w splecione pełnym zadowolenia ruchem ręce proboszcza i powróciwszy do poprzedniej pozycji, co przychodziło mu z dużym trudem mruknął:

— No, cóż... przyjechało się nacieszyć górską przyrodą?

— Ja? — zerwał się proboszcz — Tak. Po latach pracy w trudnych warunkach wojennych a potem nad odbudową zniszczeń, należy się nam, gospodarzom Bożych przybytków trochę odetchnąć na tle Jego... — starał się o swój najlepszy styl — najwspanialszego, bo bez udziału ludzkiej ręki, przybytku, na tle natury...

— Kwieciście się ksiądz wyraża. No, to w tak trudnych warunkach przebywało się podczas wojny? Gdzie? jeśli jestem natrętny, można nie odpowiadać.

— Skądże! Miasteczko przemysłowe u podnóża Gór Świętokrzyskich. Góry! Przyroda! Ale tego nie odczuwało się tam wcale. Za to strzelanina i nierzadko pukanie w szybę — góry były siedliskiem partyzantów.. W miasteczku, niby w Jerozolimie za czasów Poncjusza Piłata, stalowe hełmy nowoczesnych setników i żołnierzy władcy podbitego kraju. Tylko zamiast rybactwa, podbita ludność wykonywała rozliczne czynności w zakładach stalowych a każdy obrót ich maszyn... — proboszcz zatrzymał się w nagłym zdumieniu, bo słowa których miał użyć, po raz pierwszy uderzyły go swą ironią. Dokończył jednak:

— ...toczył się dla zwycięstwa.

— No i z konieczności pracowało się również dla zwycięstwa?.

— Co cesarskiego cesarzowi — stwierdził proboszcz

— Tego właśnie byłem ciekaw. A cóż wierni? Czy nie wymagali od swego pasterza jakichś gestów sprzeciwu, dopomagania tym, którzy jak ksiądz wspomniał, pukali tam czasem w szybę na plebanię?

— Co do tych spraw, miałem dość kłopotu z przydanym mi do pomocy bratem zakonnym. Ten, zanim zginął ratując pewną żydowską rodzinę, ukrywał niejedną nielegalną osobę. Ja swoją służbę rozumiałem inaczej. Gospodarz świątyni, figur i ornamentów, wyobraźni ludzkiej... sumień... — nie mogłem narażać na ewentualne szkody tej powierzonej sobie nawy na skłóconych odmętach. A ludziom taki właśnie pasterz jest potrzebny, bliski, zrozumiały. Dość było powodów do podniecenia i egzaltacji — starałem się nie tracić zimnej krwi. I wierzyć wbrew zmiennym wypadkom w możliwość symbiozy... w możliwość symbiozy...

— ...wygodnego życia i zasługi z pożytkiem dla świata i kościoła — zaszemrał chropawy głos z ust wtulonych w szorstkość koca.

— Ja? — zdumiał się proboszcz. Ale zgodził się, po namyśle i ciągnął dalej:

— A przecież bieg wypadków wykazał że miałem rację! Przed kilku dniami zebrałem plon tamtych trudnych dni. Pozyskałem Bogu umysł i serce, dotąd jak najodleglejsze.

— Tak? Gdyby ksiądz zechciał wtajemniczyć starca, nie mającego kontaktów z życiem...

— Z chęcią! To niezwykła sprawa. Coś dla takiego znawcy dusz, jakim być musi mój szanowny rozmówca, którego doceniam, nie znając...

— Znajdziemy może czas i na to. Jakże więc z tym nawróceniem?

— Ale toby trzeba ab ovo wszystkie tamte sprawy...

— Oczywiście! Wszystko i jak najbardziej dokładnie.

PROBOSZCZ zamyślił się i wsłuchał w ciszę — bo ciszą zdawał się tchnąć tutaj spokojny świat wobec zgiełku tamtych zdarzeń, tak wciąż żywych w jego myślach — potem zaczął:

— Osada fabryczna, jak wspomniałem, zakłady przemysłu stalowego, pracujące na trzy zmiany. Gdym otwierał rankiem drzwi plebanii miałem przed sobą mgły rozesłane smugą nad stawem i łąkami aż pod las, a z prawa wpadał mi w ucho miarowy huk młotów. Wiatr zsuwał z fabrycznych kominów wstęgi dymów — bezustannie, jak taśmową produkcję — widzi ksiądz-prałat?... A właśnie wtedy szła ranna zmiana ślusarzy, kowali, cieśli i robotników placowych. Smuga mgły... wyżej dymy... i w otwartej bramie kościoła widoczne przed ołtarzem przenajświętsze światło. Bawiłem się kiedyś malarstwem... a tamten obraz widzę do dziś. Mam pamięć wzrokową.

Osobno przepędzano skoszarowanych w barakach młodych żydów i żydówki, dość jeszcze żwawo pobrzękujących łopatami. I takich, którym już łachmany omiatały nogi, jak smutne sztandary nadchodzącej śmierci. Widziałem wiele oczu bystrych, sarkastycznych, butnych, wiele spragnionych życia i ufnych dla samoobrony, z tym wszystkim musiałem jednak uznać, że cała ta sprawa wykracza poza zakres moich możliwości. Dbałem natomiast, aby już przed tym pochodem otwarta była zarówno główna brama jak drzwi boczne kościoła, tak, by przechodnie mogli ujrzeć lampkę oliwną przed ołtarzem. Zbliżali się ku niej, dzwoniąc gwoździami, stukając drewnem o kamienną posadzkę. Kobieta z bańką — szła po odciągane mleko, sprzedawane w mleczarni „tubylcom" i modliła się o zdrowie malca, który się źle chował. Handlarka z tobołkiem jeszcze pustym — wędrowała na wieś po żywność i żarliwie prosiła świętego Antoniego o opiekę. Przyłapanie ze słoniną mogło się skończyć... najgorzej... Mieliśmy potem nawet szesnaście szubienic w rynku za przestępstwa tego rodzaju. Czasem ten i ów z robotników wstępował, klękał i niedokończywszy jeszcze znaku krzyża — spieszył, wcisnąwszy czapkę na uszy. A pewnego dnia oderwała się od grupy żydowskich niewolników młoda dziewczyna i osłaniana przez kilka aryjek, ukryła się w cieniu kolumny. Widziałem ją z zakrystii i omal że słyszałem, jak dzwoniły jej zęby. Aryjkom przewodziła biuralistka ze spółdzielni rolniczo-handlowej, panna lat około trzydziestu, osoba wybijająca się w tamtejszym środowisku. Co do mnie, w tym pojedynczym wypadku przymknąłem oczy, prosiłem jednak potem pannę... nazwijmy ją Łucją... aby na przyszłość nie narażała murów kościoła w swoich ryzykownych przedsięwzięciach.

— Słusznie — przyznała mi ta rozsądna osoba — Będziemy to robić inaczej!

Nie obraziła się zresztą wcale i nawet uśmiechem opromieniła... nie, trudno się tak wyrazić o jej uśmiechu, bo muszę przyznać, że nie była to osoba obdarzona fizycznym wdziękiem. W uśmiechu rozsuwała wargi i to wszystko. Jeśli ksiądz prałat jest fizjonomistą, to dla dokładności dodam, że panna Łucja miała długie zęby, co niektórzy wiążą z zachłannością, no a ta nie ponętna brodawka i długi włos obok, które zapamiętałem dlatego, że zjawiały się coraz w innym miejscu twarzy, jak chwast plewiony i odrastający — to są chyba sprawy bez większego znaczenia...

— Bez większego znaczenia! — zaśmiał się prałat długo i złośliwie — Podziwiam pasję malarską księdza.

— A jednak! W tym drobiazgu kryje się także mały kluczyk do zrozumienia postępowania tej dziewczyny, no, kobiety, kobiety, jak przypuszczam. Łucja była — i jest — jedyną córką nauczycielki, bardzo zawiedzionej przez życie. Matka jej, sterana pracą biedaczka, opowiadała mi, jak narzeczony ją porzucił w przeddzień ślubu, jak potem jej celem życiowym stało się tak wyposażyć Łucję we wszelkie nabyte, poza wrodzonymi, zalety, aby życie było w tym stopniu pasmem zwycięstw, jak życie matki pasmem klęsk. Odtąd śledziła swą córkę, jak stary kancelista tabele wygranych na loterii w nadziei spełnienia wszystkich niewyżytych pragnień. Rozwój umysłowy bystrej, sprytnej i szybko się orientującej dziewczynki nie dawał powodu do rozczarowań. Natomiast matka ze strachem dostrzegała już w podlotku brzydki grymas wąskich, gorzko — już zawczasu gorzko! — wygiętych warg, swe własne oczy bezrzęse, uparte i żałosne za szkiełkiem okularów, no i... brodawki, tępione lapisem i zakwitające od nowa, kwiat brzydoty. Łucja nie była wymarzoną pięknotką. A chciała być kimś wybitnym! Ta namiętna żądza musiała chyba zatruć ją jeszcze pod zawiedzionym sercem matki, bo potem, gdy już poznałem tę pełną zalet dziewczynę — była nią zduszona jak ciałem węża. Miała duże poczucie estetyczne i zawsze bardzo dbała o swój wygląd, z tem wszystkiem jednak matka postanowiła uzbroić ją do walki o powodzenie życiowe w mocny oręż: w wiedzę. Nie wiem jakie wydziały ukończyła panna Łucja, bo w spółdzielni nie pracowała przecież w swoim zawodzie, ale z rozmowy z nią i z powagi, jaką była otoczona, wnioskowałem, że na tym terenie doskonale dawała sobie radę.

Co do jej przeżyć religijnych — widziałem wprawdzie w ich mieszkaniu ryngraf i obrazek Częstochowskiej — obawiam się jednak, że spełniał on tylko taką rolę, jak wydanie „Krzyżaków", układane na stoliku podczas patriotycznych herbatek, na które panna Łucja zapraszała wybrane grono osób w każdy wtorek. Dumny symbol, prowokacja, ładny efekt. A panna Łucja lubiła takie efekty. Nie specjalizowałem się nigdy w psychologii, ale kiedyś rysowałem trochę i chętnie maluję — otóż gdybym miał portretować Łucję, to właśnie w tej efektownej pozie, dobrze wystudiowanej, jakiejś współczesnej, rzeczowej a jednocześnie płomiennej mówczyni i agitatorki. Urabiała ludzi także przez ich poczucie estetyczne, bo cały sposób jej bycia obfitował w ładne efekty, miała jakąś, wrodzoną, powiedziałbym, gibkość wewnętrzną. Jak ów bywalec po wielkopańskich ucztach, zebrała podczas bogatego w doświadczenia życia okruchy zasobnych stołków. Znała z nazwy heroizm, piękno, odkrywczość i sławę. Znała z własnych przeżyć zaborczość władców i pokorną cierpliwość poddanych, brutalną odwagę nadludzi i kręte ścieżki bojaźliwych — ręce namiętnie wyciągnięte, cały pochód po udział we władaniu tym światem. Bogata w ten sposób, wypożyczała swe skarby na lichwiarski procent. W ogniu powszechnej dyskusji potrafiła rzucić swój okruch wiedzy ze zręcznością...

— No?...

— ...ze zręcznością szarlatana. Zawsze we właściwym czasie, z szlachetnym patosem lub z tak właściwym jej układowi twarzy kapryśnym grymasem, zawsze z odpowiednim efektem, zawsze z ogólnym aplauzem. Rozdawnictwo dań barowych, odgrzewanych lecz gorących. Dziwi mnie samego ta może zbyt surowa ocena, nigdy właściwie nie myślałem o pannie Łucji... w taki sposób...

— I co dalej?...

— Dalej? Pewnego dnia doszło do spotkania dwu istot, stanowiących groteskowy kontrast: niepospolitej Łucji, subtelnej jak wypracowane cacko i mojego pociesznego, wesołutkiego pomocnika, o którym już wspominałem, brata... powiedzmy — Alojzego (ze względu na okoliczności wydarzenia muszą zachować pseudonimy). W tym czasie — zbliżały się święta Bożego Narodzenia — brat gorliwie majstrował przy zmontowaniu ruchomej i grającej szopki. Ustawiał właśnie swoich Maćków i Bartków, pasterzy, co „byli posnęli" wśród trzody białych owiec — o, jak tamte na zboczu pod Nosalem — gdym go przywołał. Panna Łucja słyszała o nim tyle entuzjastycznych zdań wśród swych herbatkowiczów, aż zapragnęła go poznać, a kto wie? może wciągnąć na te herbatki?... Ścisnął jej szczupłą dłoń trochę za mocno, za to bardzo ufnie i serdecznie — strzepnęła jakieś okruchy wiórów i z pobłażliwą łagodnością wymieniła z nim kilka zdań. Odszedł zaraz wesolutki, jak szczygieł, z powrotem ku swojej szopce, a Łucji widać ten ułamek znajomości wystarczył. Z właściwą błyskotliwością wyrobiła już sobie jeden z tych swoich poglądów a la minute: pospolity. Pospolity księżyna, którego irracjonalny wpływ na niektórych znajomych łatwo będzie unicestwić kpiną. Na moje nieme zapytanie wzruszyła lekceważąco ramionami: niech go ksiądz proboszcz lepiej trzyma przy majstrowaniu zabaweczek... Kapitalnie się do takich spraw nadaje... kapitalnie! Na terenie kościoła — to kompromitacja!

Nie mogłem w zupełności podzielić jej zdania, choć poparła je komplementami pod moim adresem. Starałem się zachować równowagę, doceniając zarówno walory tej błyskotliwej inteligencji...

— ...co cesarskiego cesarzowi... — uzupełniły usta, dyszące w kocu.

PROBOSZCZ uśmiechnął się z zażenowaniem, mówił jednak dalej, gnany nieodpartym pragnieniem wyznania.

— Starałem się o sprawiedliwy sąd o braciszku Aiojzym, który, choć istotnie może nie reprezentował z najlepszej strony... to jest... źle się wyrażam... on był po prostu jak kawał razowego chleba jednolity. Zmielone ziarno, czyste ziarno bez domieszki, taki chleb do rozdawania biedakom... nie wiem... wtedy nie myślałem tak, ale...

— No? No?!...

— ...był to chyba chleb anielski. Sama niewinność. Uwzględniając jednak poziom moich ówczesnych parafian — miasteczko wojna napełniła inteligencją z różnych stron

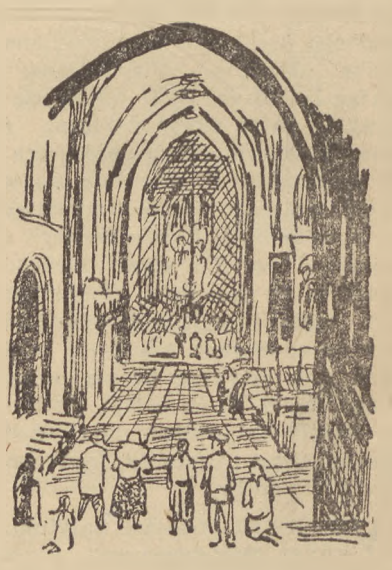

kraju — musiałem poniekąd przyznać, że poza czystością serca brat Alojzy nie miał żadnych darów, potrzebnych dla zjednania kościołowi umysłów ludzkich. Toteż ze zdziwieniem obserwowałem, że ludziska bardzo garnęli się do niego i przypisywałem to nawrotowi do pierwotności, cofnięciu się kulturalnego życia — słowem wpływowi wojny. Z zagadnień zdarto brutalnie nagromadzoną wiekami patynę kultury i pozostały nagie, bez osłonek: życie i śmierć, zło i dobro, siła i słabość... Po jednej stronie siła, zło i — życie, po drugiej słabość, dobro i — śmierć.

KORZENIE

Brat nie myślał o tym, ale pełnił dobro, myśląc o życiu. Zawijał mi przy wspólnych posiłkach najlepsze kąski dla swoich podopiecznych, mrugając filuternie. bo nie powinienem był o niczym wiedzieć i prawdę mówiąc zastanawiałem się, czy mu wprost nie zakazać tej działalności.

Swoje ruchome i grające cudo — żłobek z Dzieciątkiem Jezus w otoczeniu pasterzy, Trzech Króli, wołów i owiec, na tle krajobrazu betlejemskiego — umieścił przy głównym ołtarzu w sam dzień Wigilii, Odtąd nie poznawałem swego kościoła i swoich parafian. Nie dziwiła mnie dzieciarnia, bo dla nich ruchoma szopka, przepływające nad miasteczkiem betlejemskim obłoki, wędrujący pasterze okrywający przed blaskiem zdumione oczy — to była nielada gratka. Ale wraz z dziećmi cisnęli się do żłobka dorośli i — i po co? — aby... nie uwierzy ksiądz prałat... pociągnąwszy za tasiemkę, złączoną z kolebką Dziecięcia Jezus — kołysać Je... Było to dozwolone. Brat Alojzy umieścił wyraźny napis na tabliczce: Można kołysać Dzieciątko Jezus.

Noc za murami kościoła była tak groźna, jak wtedy, gdy za murem stajenki kipiał już war walczącej złości, ale tymczasem...

Z chóru szeroko płynęła pieśń „Chwała na wysokościach" — jednak, gdy wtargnęły w nią dzwoneczki maszynerii brata Alojzego i katarynkowe głosy, budzące śpiących pasterzy — chór milkł i cała nawa, tłoczna jak arka Noego, wpadała w niepojęty nastrój... Rzewność?... nie, to jednak było coś więcej, bo nawet mnie ogarniało to niezwykłe „sursum corda".

Łucja nie przyszła ani razu na „widowisko", jak to drwiąco nazywała, ale wiedziałem, że cała sprawa drażni ją bardziej niż śmieszy, bo ton i styl jej herbatek zmieniać się począł wbrew jej woli a frekwencja spadać. Krótko mówiąc brat Alojzy robił jej mimowolną konkurencję, bo choć sam nie był w stanie zająć nikogo rozmową, rozmowy prowadzone bez jego udziału przybierały obrót który wymykał się Łucji. Co do mnie. nie widziałem oczywiście powodu, dla którego miałbym wzbronić memu pomocnikowi tego naiwnego, ale skutecznego sposobu wabienia dusz ludzkich ku Bogu.

Tymczasem jednak zajęły mnie bardzo smutne wydarzenia. Do opróżnionego z dnia na dzień z nakazu władz gmachu szkolnego zjechała formacja wojskowa na kwatery. Jednocześnie łapanki wśród polskiej ludności a zwłaszcza istne polowania na Żydów przybrały na sile. Bezustanna nawałnica grozy. Pewnego ranka — wracałem od chorego — dzwonkom ministranta zawtórował dzwonek sań. W saniach dostrzegłem znanego mi urzędnika spółdzielni, kolegę panny Łucji. Nie ukłonił się, głowę miał wciśniętą w kołnierz. pełną napięcia twarz ściganego człowieka. Ten aryjskiego nazwiska pracownik spółdzielni, ostrzeżony o swej dekonspiracji, pragnął umknąć losowi. Żonę jego, kobietę w pełnym rozkwicie, jak hojne lato, widziałem w rok potem... jako staruszkę; uratowaniem ich córki zajęła się Łucja.

TEGO samego styczniowego dnia wieczorem zdumiałem się, gdy na moje „proszę" po czyimś pukaniu w drzwi kancelarii, ujrzałem Łucję a za jej plecami... dwu żołnierzy Wehrmachtu.

Uspokoiła mnie zaraz gładko i zręcznie, tak jak to zawsze umiała zrobić — byli to jej dawni koledzy z czasów przedwojennych studiów uniwersyteckich, którzy obecnie kwaterowali w szkole ze swoją formacja

— Wygadałam się przed tymi badaczami kolorytu lokalnego — mówiła ze zwykłą swadą — że tutejszy kościół to późny gotyk z wcale piękną polichromią renesansową. A przy okazji chcieliby też zobaczyć ciekawostkę, tego brata, jakże mu tam... no, znachora dusz... We dnie nie chcą straszyć ludzi... — śmiała się, tym razem, wydawało mi się, z nienaturalnym podnieceniem.

Zmieszany nieco i może chcąc się ich czym prędzej pozbyć, wyszedłem zaraz. Z kościoła doszedł moich uszu dźwięk dzwoneczków. Poczułem się nieswojo, stanął mi przed oczyma poranny powrót od konającego, człowiek w sankach, a w dodatku tuż za mną śnieg skrzypiał pod władczymi butami przedstawicieli siły, tak, że i ja poczułem się zarażony przykrym uczuciem pościgu.

— Brat Alojzy jest przy mechanizmie — powiedziałem Łucji — Wejdźcie, proszę, ja wydam tylko polecenie zakrystianowi i zaraz przyjdę.

...Gdy wszedłem w nawę chłodną i pustą... nie, nie pustą, bo odniosłem wrażenie pełnej i pięknej obecności... Światełko przed ołtarzem mówiło o tej obecności co dnia, ale nigdy dotąd nie była ona tak żywa w moim kościele. Żołnierze z Łucją przystanęli tuż za progiem i z latarkami w dłoniach zajęli się oglądaniem portalu. Na prawo od ołtarza przesuwali się już w drodze do żłóbka Maciek i Kazimierz. Józek i Bartek, pasterze z sękatymi kosturami i owcami na ramieniu. Wół w stajence kiwał głową a Trzej Królowie nadążali od wschodu pod promienistą gwiazdą. „Któż pobieży kolędować małemu"... Zapamiętałem te słowa kolędy, bo w głosy mechanizmu wtargnął wtedy właśnie świeży dziecięcy śmiech, króciutki, zaraz urwany, tak jakby matka stłumiła go na ustach dziecka. Obejrzałem się za siebie: żołnierze, świecąc latarkami, studiowali polichromię. Podchodząc ku przodowi zauważyłem, że przed szopką stoi jakaś ubogo odziana niewiasta z dziecięciem na ręku i z drugim, uczepionym jej spódnicy. Trzeciego chłopczynę unosił na rękach brat Alojzy. Wymieniam te wszystkie istoty jednym tchem, tak jak wtedy łącznie skupiły całą moją uwagę, bo wszystkich ich dotyczyło nieokreślone jeszcze, ale dojmujące uczucie strachu, którego doznałem. Nagle stanął mi przed oczyma obraz, widziany przed kilku dniami. Tak, to tę samą chudą i smagłą kobietę w strzępach szat i tę trójkę smutnych i łkających dzieci widziałem w izdebce brata. Przepasany był wtedy — cóż za komiczny szczegół! — roboczym fartuchem, przywiezionym z klasztoru i warzył na żelaznym piecyku jakąś dymiącą strawę, do której dzieciarnia rozpromieniła się przez łzy, jak słoneczne niebo wśród deszczu. Matka miała dostojny i cierpliwy wyraz męczennicy. Tak musiały wyglądać chrześcijanki pierwszego wieku przed wnijściem na cyrkową arenę.

Co mówię?! Bo... trzeba księdzu wiedzieć,... to była rodzina z krwi narodu, który wydał Jezusa...

WRÓĆMY jednak do tego, co się działo przed kolebką Nowonarodzonego. Wyciągnąłem już dłoń ku bratu Alojzemu, aby nakazać mu jak najszybsze wyprowadzenie żydowskiej rodziny, ale nie zważał na mnie, bo właśnie prowadził brudną, wychudzoną rączkę najstarszego chłopca ku taśmie, zwisającej obok tabliczki.

— Można kołysać... — szepnął i dziecko równomiernymi, uważnymi ruchami poruszyło kolebkę, jak może w domu kolebkę młodszego brata.

W jasnej smudze, płynącej od elektrycznie naświetlonej gwiazdy promienistej widziałem smagłą twarz, w której skamieniał smutek starszy nawet od pięciu lat tak smutnego życia; wszystka melancholia narodu, któremu znowu zagrażali barbarzyńcy w hełmach — leżała w nalanych czernią ogromnych oczach. Te oczy, ich wymowa, zdradziły by go, gdyby nawet nie zdradziła go podobnie znaczona śmiercią twarz matki i pokryta wrzodami nędzy główka najmłodszego. Znów obejrzałem się trwożliwie i postanowiwszy sam ich wyprowadzić, zasłoniłem tymczasem całą czwórkę, a chciałem mieć bary olbrzyma i jak najsutsze fałdy sutanny. Grający mechanizm wykonywał właśnie kolędę „Cicha noc"... i z dużą ulgą posłyszałem dwa męskie głosy, wtórujące pieśni z głębi kościoła. Żołnierze Hitlera folgowali sentymentalnemu wspomnieniu rodzinnego domu. Obłudny pozór dobra — hołd szatana dla swego przewidywanego zwycięzcy. Łucja nie śpiewała — może była wzruszona a może niezdecydowana, w jakim języku śpiewać tę polsko-niemiecką kolędę?...

Poczułem się bezpieczniejszy i z głębi serca oddawałem te istoty — ściganą niewinność — innej ściganej niewinności — Najświętszej Rodzinie w betlejemskiej stajence. A żydowska niewiasta zapatrzyła się wraz ze mną, ufna w swej beznadziejnej sytuacji i nie mając nikogo z ludzi, któremu by mogła powierzyć swoje dzieci — powierzała je Dzieciątku, ono zaś wyciągało ku nim rączki...

„Dziś ze mną będziecie w raju".. Nie wiem skąd spłynęły na mnie te słowa, bo kolęda mówiła o świętej ciszy i o pokoju. Nie wiem, dlaczego w najgłębszym przeświadczeniu łączyłem szczęście tych niewinnych z dniem dzisiejszym... Dziś... w raju...

Wnet jednak wróciła mi wrodzona trzeźwość i tym razem z całą energią pochwyciłem za rękę najstarszego chłopca, nakazując surowym spojrzeniem matce oraz bratu Alojzemu wyniesienie młodszych. W dalszych wypadkach brałem już udział półprzytomnie. Pamiętam kwilenie maleństwa z obandażowaną główką i krzykliwy protest chłopca, gdy chciałem go oderwać od kołysania kolebki, pamiętam.., o... pamiętam ten dziki okrzyk.

— Juden?!

...Pamiętam naiwny gest brata Alojzego, który spróbował złożyć dłoń hitlerowskiego żołnierza na główce żydowskiego dziecka... pamiętam wymierzony mu policzek... który go zabolał, lecz nie obraził. ...sądzili oni: czy można poniżyć kogoś tak nędznego?...

Pamiętam... — głos proboszcza rwał się, jakby wymawianie słów było trudem odwalania głazów — brata Alojzego, który w imię Nowonarodzonego błagał o sprawiedliwość dla niewinnych... żołdak przewrócił go ciosem buta... pamiętam, że gdy drwiącym gestem żołdak przepuszczał skazańców przez drzwi zakrystii... ja wtedy tylko... zasłoniłem oczy... pełen rozpaczy... zasłoniłem oczy... z zasłoniętymi oczyma słyszałem potem pięć strzałów... cóż byłem winien?!...

...Badano mnie..., lecz dzięki świadectwu władz miejscowych o mej lojalności... zostałem przy życiu...

ODERWAWSZY od twarzy dłonie, proboszcz kończył:

— Minęło już od tych wydarzeń kilka lat. I przez cały ten czas starałem się nie słyszeć tamtych strzałów. Dziś mówiłem o nich po raz pierwszy... A jednak w międzyczasie mój stosunek do sprawy musiał się zmienić, bo dziś opowiadałem tak, jakby to ktoś, powiedzmy mój szanowny słuchacz, opowiadał wraz ze mną. Jeszcze miesiąc wstecz, albo komu innemu — opowiedziałbym inaczej... Zagadnienie odżyło we mnie, ujawniło się w nowym naświetleniu także wskutek tego, że przed kilku dniami Łucja, odnalazła mnie, bo znałem tę sprawę i uczyniła mi wyznanie...

Po wojnie doznała wszystkich zaszczytów, należnych ofiarnej bojowniczce, uratowała wszakże kilkanaście osób z rąk hitlerowskich oprawców, brała udział w akcjach partyzantów. Dziś jest kimś cenionym — nareszcie... ale jak się zdaje bardzo nieszczęśliwym... pełnym niepokoju. Matka jej kiedyś, jak wspominałem, określiła jej los w namiętnym porywie — udziałem córki miało być, za wszelką cenę. wybitne miejsce na szczeblach ziemskiego znaczenia. Łucja z kolei, w obawie o swe dziecko, które ma się narodzić, pragnie uwolnić je od wszelkich związków ze swą przeszłością... dać mu czystą kartę... pragnie uwolnić je od siebie... z wielkiej dla niego miłości...

W sprawie brata Alojzego i żydowskiej rodziny, Łucja... była winna. W chwili, gdy przechodziła kościelnym dziedzińcem a towarzysze jej zatrzymali się jeszcze za bramą...

— ...ujrzała w mroku kobietę z dziećmi, prześlizgującą się wraz z bratem Alojzym ku zakrystii! — krzyknął starzec, zrzucając koce,

— Skąd ksiądz wie?!

— Czy nie słyszałem już dość, aby zauważyć i to, co się wymknęło opowiadającemu? Wyznała... mówi ksiądz. Uczyniła wyznanie na pół szczere i dostosowane chytrze do okoliczności. Dała cenę najniższą z wymaganych. by pozbyć się niepokoju. Powiedziała że wprawdzie powinna była ostrzec ewentualne ofiary, ale że w zdenerwowaniu i wobec własnego zagrożenia, nie zdołała tego zgrabnie przeprowadzić i... szereg tego rodzaju wykrętów w ogólnym tonie: wyznaję wprawdzie ale cóż byłam winna?... ksiądz dostrzegając heroizm w wyznaniu, przyznał solidarnie, że wobec bestialstwa żołdaków wina jej maleje a delikatność sumienia jest niewątpliwa. Nie mogła przecież odmówić żądaniu żołnierzy Hitlera, choćby byli oni nawet dawnymi kolegami studiów. Huk strzałów, wymierzonych w ludzi na przykościelnym cmentarzu, nie mącił już tej rozmowy. Łucja wyszła, by uspokojona wyznaniem wrócić do życia, ksiądz, pełen satysfakcji, dziękował Bogu za szczęśliwy plon. Bóg jest miłosierny i tak ukształtował naturę ludzką — splątaną — że nie sposób wyrwać z niej korzenie dobra! Zło korzy się przed dobrem! I Judasz nawet oddał swe srebrniki! Czy to wystarczy? Widzę Łucję... widzę w mym własnym zwierciadle, gdzie własna nędza uczy nędzy drugich... Widzę Łucję... bo kto z nas jest bez winy? Bunt w jej sercu. Oto pospolity brat zakonny, któremu ludzie przynoszą w otwartych dłoniach dary bezcenne, on zaś nie dba o nie: podziw, zachwyt, miłość. Za taką zdobyczą Łucja musiała tropić jak ogar po śladach ludzkich, czatować na zakrętach, giąć się i męczyć... Kto z nas nie zaznał buntu przeciw niewinności wobec własnego brzemienia win? Uginasz się pod ciężarem złości i resztkami sił złorzeczysz temu, za czym tęsknisz potajemnie! Tęsknisz... bo nie jesteś, jak nikt nie jest — samem złem. Ale bunt trwa. Już „wygadując" się przed „badaczami kolorytu lokalnego" z istnienia ciekawego kościoła i jego „ciekawostki" — już wtedy Łucja uległa skrytym planom swej podrażnionej ambicji. Już wtedy skrycie zapragnęła unicestwienia brata Alojzego. Resztą pokierowały okoliczności ...ona nie władała już sobą.

W willi skrytej w smrekach skrzypnęła furtka. Młody ogrodnik, wsparłszy grabie o sztachety, pytał czy nie chłodno księdzu prałatowi. Ten przywołał go skinieniem.

— No, cóż, nie będę już chyba przeszkadzał księdzu dłużej cieszyć się górską przyrodą... Zaniepokoiłem księdza, zabrałem mu radość zasłużonego wypoczynku?...

— Nie... nie — powtarzał proboszcz w zamyśleniu. Ocknął się, gdy już starzec, wsparty na młodym ramieniu, odbywał drogę powrotną. Zerwawszy się, dogonił go, aby zadośćuczynić nawykowi uprzejmości, ale potem, gdy wróciwszy na dawne miejsce, śledził żmudne kroki swego niedawnego towarzysza, stracił go z oczu i znów, jak przed godziną, zatonął wzrokiem w górskiej przyrodzie — nie był w stanie odzyskać dawnego pogodnego nastroju.

Zbliżał się wieczór i jego cisza. Ale wsłuchując się w ciszę, proboszcz słyszał huk ogromny, od którego tętniła mu w skroniach krew. Huk, o którym już wiedział, drżąc ze zgrozy a zarazem pragnienia, że nie przebrzmi odtąd, nieustanny jak oddech... jak rytm wiecznej walki... że nie dopuści już nigdy, by zasnął snem bez marzeń... huk, który spędzać go będzie z wygodnych dróg i gnać przez udrękę... huk strzałów na przykościelnym cmentarzu.

Wanda Chylicka

PRYWATNA MESKA SZKOŁA OGOLNOKSZTAŁCACA
stopnia licealnego
p. wezw. św. Augustyna
z prawami szkół państwowych
Warszawa, Mokotów ul. Naruszewicza 32
przyjmuje zapisy do klas ósmych codziennie godz. 8 00 — 15 00
w sekretariacie szkoły Tel. 42793.
szkoła jest bezpłatna szkoła jest bezpłatna

Leszek PROROK

Nad grobowcem pierwszych Piastów

1.

DWUDZIESTEGO trzeciego kwietnia A. D. 1952 w głównej nawie katedry poznańskiej, spod łopatek migających sprawnie w rękach robotników wyjrzał ostatni z trzech elementów architektonicznych okresu przedromańskiego Starannie oczyszczono teren i wyrównano ściany wykopu. Nauka może swobodnie poddać oględzinom największe odkrycie archeologiczne, dokonane w ramach akcji badań nad początkami państwa polskiego.

Na osi, przecinającej świątynię ze wschodu na zachód, leżą kolejno: fragment podstawy wielkiego baptysterium z betonu wapiennego, węgły budynku mieszkalnego, a wreszcie część grobowca z okrzesków granitowych. Niewiele czasu potrzebowali prof. dr Zdzisław Kępiński, kierujący całokształtem badań oraz mgr Krystyna Józefowiczówna, kierowniczka prac wykopaliskowych w katedrze, dla ustalenia wagi odkrycia. Kamienne mauzoleum skrywało ongiś doczesne szczątki Mieczysława I lub Bolesława Chrobrego, jednego z tych zatem, których brązowe postaci w kaplicy tej samej katedry postawił na sarkofagu wiek XIX.

W wapiennym basenie pobliskiego baptysterium poddani ich związali swój los z Nowym, które sięgnęło tu przed dziesięciu wiekami.

Nad otworem wykopu czuwa strzelisty strop katedralny. Nakrywa on resztki kolejnych czterech świątyń. Każda z nich rozpierała się coraz bardziej na Tumskim Ostrowiu i spychała poprzedniczki w dal minionego czasu. Jeszcze kołaczą w pamięci szczegóły włoskiego baroku Solariego z 1795 r. już wyparte przez dzisiejszą rekonstrukcję do XIV-wiecznego gotyckiego kształtu. Wzrok drąży mury, by wyłuskać z nich szczuplejszy zarys romańskiej świątyni, którą stawiał tutaj Śmiały lub Herman. Dziś wiemy, że pod pokładem romańskiego tumu drzemią niezbadane jeszcze w pełni resztki katedry pierwszych poznańskich biskupów. Polska Mieszków i Bolesławów wychyliła z wykopu w katedralnej nawie swe najbardziej autentyczne, nieskażone oblicze.

Niesposób ogarnąć całości odkrycia bez zajęcia się ostatnimi dziejami poznańskiej katedry.

Zamieniona w czasie okupacji na magazyn zrabowanych dzieł sztuki, odarta z miedzianego dachu i słynnych płyt brązowych, okradziona ze skarbca, w lutym 1945 r. świątynia pada ofiarą artyleryjskiego obstrzału i niszczycielskiej furii hitlerowskiego Sprengkommando. Pożar trawi wieże, dachy i klasycystyczną fasadę. Nikt z tych, którzy w ostatnich dniach oblężenia śledzili dzieło zniszczenia, nie przypuszczał, że kryje się w nim zarodek wspaniałych odkryć.

Pod wpływem żaru pękła i odpadła część barokowego, niskiego sklepienia, odsłaniając wątek gotyckiej arkady. Uprzednio utrzymywał się pogląd, że świątynia gotycka zniszczała w przeszłości, że zostały po niej co najwyżej fundamenty. Po zakończeniu wojny, ówczesny konserwator wojewódzki, prof. Kępiński zajął się katedrą i doszedł do wniosku, że mury Solariego skrywają niejedną jeszcze gotycką tajemnicę. Ś. p. kardynał Hlond na podstawie tych badań podjął niełatwą decyzję regotyzacji świątyni. Należało najpierw wyburzyć dalsze, nawet nieuszkodzone partie barokowego stropu. Gotyckie filary i strop okazały się oblepione tynkiem do formy barokowej. W prezbiterium odsłoniły się prześliczne triforia, ganki gotyckie, rzadki na naszych ziemiach element budownictwa francuskiego. Postać, która zaczęła się wyłaniać, tworzyła kształt monumentalny, bardziej godny swej archikatedralnej roli, niż przeciętny barok włoskiego budowniczego.

Po wywiezieniu setek ton gruzu świątynia zyskała na lekkości i zachwyca dziś każdego śmiałością łuków. Powrót do strzelistości nie był jednak łatwy. Z ostrołuków, z żebrowania stropu zachowały się zaledwie części dwóch kapiteli. Na szczęście kąt nachylenia łuków dał się z nich odczytać. Pozwoliło to inż. Moraczewskiemu, kierownikowi odbudowy, na rekonstrukcję wiązek żeber, łączących się w splocie u stropu.

Z kolei, w poszukiwaniu podstaw filarów, do tej pory zatopionych w posadzce z okresu baroku, sięgnięto do poziomu gotyckiego, niższego o metr od kaplic, otaczających wieńcem świątynię.

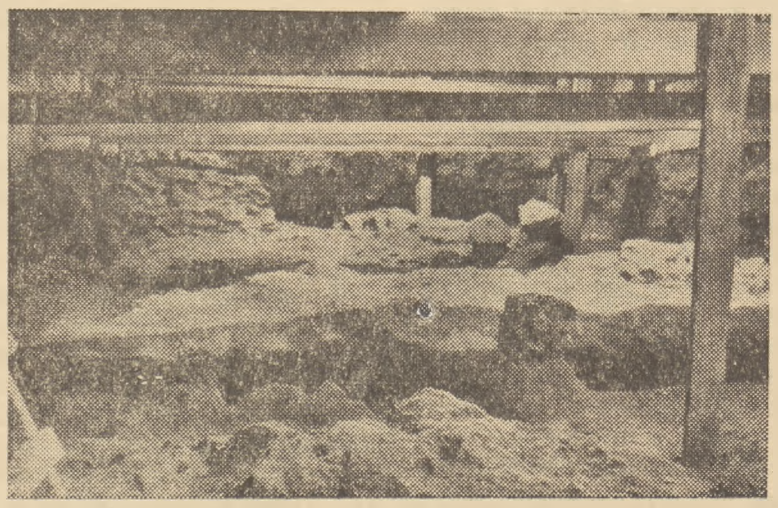

Fragment murów kamiennych katedry przedromańskiej
Fot. St. Laskowski, Poznań.

Dalsze odkrycia goniły jedno drugie. Przy przemurowywaniu zniszczonego filaru odnaleziono zachowany do wysokości 5 m. nad ziemią narożnik muru romańskiego. Równocześnie od zachodniej strony zdzierano do reszty uszkodzoną barokową fasadę, by odsłonić ceglany mur gotycki. I tutaj odnalazł się fragment wcześniejszej architektury romańskiej z kostki kamiennej.

Dalsze badania i wysnute z nich wnioski, w oparciu o analogię do zachodniego budownictwa tej epoki pozwoliły określić dokładnie zarysy świątyni romańskiej, a nawet łuki trzech absyd.

Jednocześnie w czasie badań nad warstwą romańską prehistoryk prof. Hensel, dokonał szeregu wykopów i w roku 1946 natrafił na mur przedromański z około połowy X w., który biegnie pod świątynią w poprzek jej osi. Ślad ten doprowadził do czwartej, najdawniejszej katedry. Pierwsza świątynia biskupia znajduje się pod prezbiterium, po wschodniej stronie odkrytego muru. Budowniczowie Bolesława Śmiałego czy Władysława Hermana odsunęli tum romański na zachód, by go oddalić od niszczycielskiego wpływu zalewu Cybiny, podmywającej grunty Ostrowia Tumskiego.

2.

W KWIETNIU ub. roku badania warstwy przedromańskiej zostały wznowione. Naukowcy poznańscy spodziewali się odnaleźć ślady architektury drewnianej, był to bowiem teren dawnego podgrodzia. O tak rewelacyjnym odkryciu jak grobowiec królewski czy baptysterium nikt podówczas nie marzył.

W zachodniej części świątyni pod nawą główną odsłonił się potężny mur z wielkich bloków kamiennych z zarysem gładkiego filaru, tkwiącego na podłużnej osi świątyni. Mur i filar zdradzały istnienie przestrzeni architektonicznej. Czyżby wiązały się z jakąś budowlą zamkową — z pallatium?

Posuwając się wzdłuż muru w kierunku południowym badacze dotarli do narożnika. Jeszcze dalej, na południowym skraju terenu świątyni tkwił fragment muru przedromańskiego, nieokreślonej jeszcze grubości.

I znów logiczne powiązanie odgrzebanych okruchów, w oparciu o wiedzę dotychczasową i analogie, pozwoliło na ścisłe określenie obrazu terenowego. Wykopaliska wczesnopiastowskie leżą na przestrzeni otwartej, na terenie atrium, częstego w budowlach wczesnego chrześcijaństwa. Dziedziniec przed świątynią okalały zapewne arkady, oddzielając przestrzeń o charakterze półsakralnym. Zadaniem tego miejsca było wywołanie w przychodzących do świątyni nastroju podniosłości i skupienia. Tu również stały budowle, związane z kultem publicznym, nie pozbawione zarazem znaczenia państwowego: olbrzymie baptysterium i mauzoleum władcy — Mieszka czy Chrobrego.

3.

Tutaj to, tutaj kończyłem budowę
I strop skiepienny przewiązałem tęczą
i sarkophagum stawiłem cłosowe
ojcu — niech spoczął po trudach, co męczą
mąż, który wielkie przełomy dziejowe
podjął, nim czoło korony obręczą,
podniósłszy dumne, harde, nieugięty,
wrogów w żelazne pozakuwał pięty.
(Wyspiański)

MAUZOLEUM władcy... Pogląd ten nie budzi wątpliwości. Zarówno babtysterium jak i grobowiec leżą centralnie na głównej osi katedry przedromańskiej oraz atrium. Świadczy o tym ślad filaru w południowym murze. Wiemy z historii, iż w podobnych miejscach przedkatedralnych chowano tylko władców, bądź świętych. Pierwszy święty młodego państwa, Wojciech, spoczął w Gnieźnie, odpada również ewentualność grobu biskupiego, rządców diecezji bowiem chowano wewnątrz katedr, w grobowcach ściennych lub pod płytami posadzki. Brak historycznej analogii, która by zachwiała tę tezę. A zatem monarcha... Może być nim tylko jeden z dwóch pierwszych Piastów, którzy tu w Poznaniu zostali pochowani. Wątpliwe, by udało się w przyszłości wyjaśnić czy jest to grób ojca czy syna. Umieszczeni razem w królewskiej kaplicy, nadal wspólnie patronować będą granitowemu mauzoleum. Może pamięć Mieszka I uczcił budowlą Chrobry, może wystawił ją wielkiemu ojcu Mieczysław wtóry. I jego zwłoki spoczęły z kolei na tym Ostrowiu, wątpliwe jednak by w latach zamętu po 1034 r. stawiano tu trwały pomnik trzeciemu historycznemu Piastowi.

Cytowane słowa poety skreślone były na chwilę podobną. Powstały pod wrażeniem, jakie w społeczeństwie wywołało niespodziewane odkrycie grobowca i szczątków Kazimierza Wielkiego na Wawelu w czerwcu 1869 r. Słowa Wyspiańskiego, którymi mówił duch ostatniego z dynastii, mogły równie dobrze dźwięczeć w tym kamiennym grobie pierwszego z historycznych Piastów.

I śniłem życie mojego narodu
Królewskie, błękitne, pogodne:
jak rosły, potężniały wieże grodu,
miasta olbrzymy, z mych czasów wywodne
w Sławie, w szeregach przelicznych pochodu
wieków... i ludów wielkość; wszystkie zgodne;

Lecz to tylko poetyckie impresje. Innej analogii, prócz czci, która każe pochylić się przed wielkością piastowską nie ma. Inne znaczenie miały królewskie szczątki dla „weśnionego w przeszłość" żałobnego pokolenia zaborów, inne dla pokolenia, któremu dane było po wiekach sięgnąć po piastowskie zaodrzańskie dziedzictwo. A oto dalsze tej inności oblicze. Spokojny był sen Kazimierzowy przez pięć stuleci. Niedługo spał król pod baldachimem z okrzesanego granitu. Atrium przedkatedralne w czasach powstania pogańskiego w r. 1037 czy najazdu Brzetysława Czeskiego w 1038 uległo najprawdopodobniej zniszczeniu. Znaleziony w tym miejscu przez mgr. Józefowiczównę czeski denarek Brzetysława potwierdza tę tezę. Wtedy to rozwleczono zapewne szczątki zwłok i zawartość grobowca. O ileż słuszniej przeto dźwięczą tu niż w „Kazimierzu Wielkim" Wyspiańskiego słowa: „Odwalon kamień tumby, a loch pusty".

Tumba ta była zapewne pusta lub zawierała w relikwiarzu nieliczne tylko ocalałe szczątki z przedromańskiego grobu. Grobowiec w atrium został przecięty jak nożem. Inny olbrzymi grobowiec barokowy, nieznanego przeznaczenia, wpuszczono pod posadzkę tak głęboko, iż sięgnął do warstwy pierwszej świątyni. Budowniczowie tego lochu roznieśli bez skrupułów zawadzające im granitowe okrzeski. Lecz i ich dzieło uległo z kolei dalszemu spustoszeniu.

Grób królewski stoi na wale z bierwion drewnianych. Jest to pozostałość po podgrodziu, piątej warstwie historycznej terenu podkatedralnego. Wnosić można, że grób był odbudowany. Podstawę budowli oblewała warstwa czystego wapna Różni niepożądani goście nawiedzali to miejsce. W płycie okalającej zachowaną część grobu niby kryzą, odcisnęły się ślady raciczek cielęcia czy kozy.

Kult Chrobrego odżył w katedrze z rokiem 1345, kiedy to biskup Jan IV z Kępy Łodzia, którego imię wiąże się z powstaniem gotyckiej świątyni, wzniósł władcy grobowiec z obszernym epitafium.

4.

POBLISKIE baptysterium jest zapewne budowlą wcześniejszą związaną z momentem chrystianizacji kraju. Składało się z misy chrzcielnej z betonu wapiennego, tak bowiem można określić lepiszcze ówczesne, o średnicy ok. 6 m. Dochowała się znaczna część okręgu. Głębokość misy wynosiła do 30 cm. Okalała ją cembrowina wysoka na 3/4 m. Dokoła biegły słupy drewniane, które wraz z środkowym filarem wspierały spadzisty dach. Wgłębione gniazdo filaru w środku misy dochowało się niemal w całości.

Baptysterium piastowskiej katedry jest niemal pierwszą tego typu budowlą odkrytą w Polsce Stanowi ciekawy przykład połączenia elementów drewnianych i kamiennych. Zagranicą urządzenia chrzcielne trafiają się raczej w postaci niewielkich oktagonalnych kościołów. Dążenia do tego symbolicznego profilu widoczne są również w zarysie cembrowiny piastowskiej. Budynek był ażurowy bez ścian. Może wzniesiono go tylko na okres masowych chrztów, związanych z przyjęciem nowej wiary, później zaś pozostał pamiątką wielkich dni, zaś właściwy obrządek przeniósł się do zwykłych chrzcielnic wewnątrz świątyni. W czasie chrztu zanurzano w babtysterium stopy. Tam również następowało polanie głowy. Rozmiary babtysterium świadczą dobitnie o masowości chrztów i ich publicznym charakterze w państwie pierwszych Piastów.

Nad wszystkimi zawisło naczelne pytanie — dalszy los wykopalisk. Nie jest to sprawa łatwa. Odarte ze swej historycznej opończy zabytki z wapna i granitu narażone są na szybkie zniszczenie — zwietrzeją.

Promień nadziei błysnął po wizycie prof. Cebertowicza z Warszawy, cudotwórcy w dziedzinie stabilizacji gruntów przy pomocy elektrolizy. On to utwierdził grunt pod stołecznym kościołem św Anny. Uczony obiecał podjąć próby nad opracowaniem metody petryfikacji odkrytych budowli. Wyniki tych prac oczekiwane są z napięciem i niecierpliwością. Jeśli nie doprowadzą do pożądanego wyniku wówczas odkrycia będą musiały być ponownie zasypane.

5.

KWIETNIOWE odkrycia na Ostrowiu Tumskim w Poznaniu posiadają wielkie znaczenie dla nauki polskiej. Rzucają nowy, obfity snop światła na stosunki wczesnopiastowskie, na rozmach architektoniczny, na głęboki pietyzm dla pamięci władcy i świadome ugruntowanie tradycji naszej państwowości. Odkrycia te podbudowują jeszcze silniej pogląd, że właściwym centrum rodzącego się państwa był Poznań nie Gniezno.

Podkłady katedralne kryją na pewno niejedną jeszcze tajemnicę. W dalszym ciągu prac wykopaliskowych przewidziane są badania we wschodniej części warstwy przedromańskiej, terenu pierwszej piastowskiej katedry. Badania te żmudne i długotrwałe, opóźnią, być może, ukończenie odbudowy poznańskiego tumu. Nie wiele pozostało do przywrócenia świątyni pełnej średniowiecznej wspaniałości. Nie należy narzekać na tę zwłokę. Skala i znaczenie odkryć usprawiedliwiają ją całkowicie. Pełna zrozumienia i ofiarności praca naukowców i robotniczego zespołu gwarantuje, iż żaden ślad przeszłości nie zostanie przeoczony ani zmarnotrawiony.

Leszek Prorok

NOWOŚĆ **NOWOŚĆ**

Ks. prof. Eugeniusz Dąbrowski

PROLEGOMENA

DO

NOWEGO TESTAMENTU

WYDANIE DRUGIE POPRAWIONE I UZUPEŁNIONE

Cena Zł 20.—

Wysyła Biuro Sprzedaży Spółki Wydawniczej „PAX". Warszawa Mokotowska 43, po wpłacie należności na konto PKO. Nr I-8515

Tadeusz WIERZBICKI

Z DYSKUSJI NAD RODZINĄ

RENESANS CZY KRYZYS?

PROBLEMATYKA rodziny współczesnej jest bardzo bogata i zróżnicowana. Znajduje to swój wyraz w naszej dyskusji, która wniosła niewątpliwie wiele słusznych uwag i spostrzeżeń niezależnie od tego, czy dyskutanci zajmowali się zagadnieniami szczegółowymi, czy też próbowali wyprowadzić wnioski bardziej ogólne.

Dyskusja nasza stanowi dowód, jak szeroki zakres spraw obejmuje problematyka rodzinna i jakie dziedziny zainteresowań angażuje. Znajdują w niej swój wyraz przede wszystkim te sprawy i problemy, które najbardziej nurtują we współczesnych rodzinach katolickich. Zagadnienia te wyrosły na gruncie konkretnych sytuacji życiowych, zrodzone zostały przez przemiany zachodzące zarówno w sferze ekonomiczno-społecznej jak i w sferze psychiki człowieka współczesnego. Wypowiedź T. Wierzbickiego kładzie specjalny nacisk na zadania rodziny i analizuje warunki w jakich się one współcześnie realizują.

NIEWĄTPLIWIE rozmaicie możemy rozumieć „kryzys rodziny". W. Żuromska bierze pod uwagę dwa znaczenia: rozpad rodziny w sensie jej zanikania lub obumierania i przemianę dotychczasowej formy patriarchalno-burżuazyjnej, w nową. Tak rozumiejąc pojęcie „kryzys rodziny" staje autorka na gruncie istnienia procesu przemiany form, względnie typów rodziny i to pod wpływem zmian zachodzących w strukturze ekonomiczno-społecznej. Takiemu postawieniu problemu nie można pod względem poprawności nic zarzucić, lecz osobiście skłaniałbym się do nieco innej interpretacji tego pojęcia, moim zdaniem, w tym wypadku bardziej produktywnej.

Przede wszystkim przez „kryzys rodziny" można rozumieć jej kryzys w sensie teoretycznego kwestionowania potrzeby istnienia rodziny we współczesnym społeczeństwie. Minęły już czasy namiętnego oskarżania socjalistów przez ich przeciwników, że pragną znieść rodzinę w ogóle. Marks w „Manifeście Komunistycznym", atakując burżuazję, nie pominął i rodziny, jako jednej z instytucji społeczeństwa burżuazyjnego, lecz atak jego zwraca się przeciwko współczesnej rodzinie burżuazyjnej, która dla spokoju swego egoistycznego bytowania zbyt często wolała nie dostrzegać tysięcy proletariuszy pozbawionych faktycznie życia rodzinnego, a nie przeciw rodzinie w ogóle. Wprawdzie negacja tej formy rodziny przeszła u niektórych późniejszych „socjalistów" w krańcowe żądanie zniesienia lub co najmniej zasadniczego rozluźnienia związków rodzinnych i całkowitego wychowania dzieci przez państwo. Jednakże współczesne poglądy na rodzinę w Związku Radzieckim podkreślają bardzo wyraźnie jej rolę i znaczenie dla społeczeństwa socjalistycznego.

Tak więc, nie zachodzi dziś niebezpieczeństwo negowania racji istnienia instytucji rodziny. Lecz to jest teoria, a przecież praktyka może być inna. Taki zarzut słyszy się nieraz. Otóż spotykamy się tu z drugim rozumieniem słów „kryzys rodziny". Chodzi o faktyczny rozpad rodziny jako instytucji społecznej. Dokonać się to może albo z powodów moralnych (rozluźnienie obyczajów), albo pod naciskiem jakichś czynników zewnętrznych, wystarczająco silnych, by doprowadzić do podobnego kataklizmu.

Opierając się na zwykłej obserwacji, bez trudu możemy stwierdzić, że przykładów podobnego rozpadu rodziny na szczęście nie spostrzegamy. W pewnym wieku dążymy na ogół powszechnie do wejścia w związki małżeńskie i założenia rodziny; i właśnie liczne głosy, wyrażające obawy i wskazujące na obecne trudności życia rodzinnego, są najlepszym dowodem tego, że rodzina jako podstawowa komórka organizacji społecznej nie rozpada się, lecz co najmniej trwa. Jakie natomiast czynniki wpływają na trwałość związku rodzinnego — jest już kwestią dalszą. Narazie stwierdzam, że nie można w zasadzie mówić o kryzysie rodziny w sensie drugim.

Wreszcie trzecie rozumienie pojęcia „kryzys rodziny". Otóż instytucja tego rodzaju, co rodzina ma do spełnienia pewne społeczne funkcje. Jeżeli funkcji tych z jakichś powodów nie wypełnia, możemy śmiało mówić o kryzysie rodziny. To co Żuromska określa przez formę rodziny, nazywam funkcjami społecznymi rodziny. Wydaje się, że w nich leży punkt ciężkości tego problemu.

CZY RODZINA WSPÓŁCZESNA WYPEŁNIA SWOJE FUNKCJE?

NALEŻY tu uczynić pewne zastrzeżenie, a mianowicie rozważania nasze celowo ograniczymy zarówno co do miejsca jak i czasu. Czas — to współczesna epoka. Miejsce zaś ograniczymy podwójnie: raz do terenu Polski, dwa — do miasta.

Jakkolwiek instytucja rodziny w Polsce podlega w zasadzie ogólnym wpływom, których udziałem jest cała Europa, a w szczególności kraje socjalistyczne, to jednak każdy kraj posiada swoje specyficzne, nieraz odrębne cechy w rozwoju instytucji społecznych.

Polska jest tym krajem, który chyba najdotkliwiej ucierpiał w czasie okupacji niemieckiej. I właśnie ten okres wywarł pośrednio przez swe skutki znaczny wpływ na instytucję naszej rodziny. Uwidocznił nam bowiem jej siłę i wartość, pokazał na tysiącach przykładów, jakim oparciem i tarczą dla jednostki staje się rodzina w chwilach wyjątkowych i trudnych dla całego narodu. Można by przytaczać tysiące przykładów wzajemnego poświęcenia rodzinnego. Wygoda, dobrobyt i bezpieczeństwo ułatwiają życie rodzinie lecz nie jest to równoznaczne z wytwarzaniem się silnej więzi. Dlatego też w rozważanach naszych nie można pominąć i tego aspektu zagadnienia.

Dla usunięcia wszelkich wątpliwości zastrzegamy się, że rozważania te dotyczą przede wszystkim miasta, gdyż zagadnienie rodziny na wsi wygląda ciągle jeszcze nieco inaczej. Różnica zasadnicza polega moim zdaniem, na fakcie, że rodzina chłopska związana jest ściśle z rolnym warsztatem produkcyjnym, w którym czynnie pracują wszyscy nieomal członkowie rodziny. A to oznacza bardzo wiele dla wytworzenia się pewnych specyficznych właściwości. Zresztą to rozróżnienie w praktyce wydaje się, przyjęli milcząco wszyscy dyskutanci, gdyż argumenty ich i przesłanki dają się bez trudu zastosować do terenu miasta, lecz nie zawsze do wsi.

Po tym zastrzeżeniu oraz przyjęciu jako zasadniczego trzeciego rozumienia słów „kryzys rodziny" należy określić jej funkcje społeczne. Wynikają one z zasadniczego celu rodziny, którym jest zachowanie i wychowanie rodzaju ludzkiego, a dadzą się sprowadzić do dwóch zasadniczych: wychowania i opieki nad potomstwem i wzajemnego wspierania się przez całe życie.

Oczywiście, że i tu istnieje pewne niebezpieczeństwo zasklepiania się we własnej rodzinie — i wyłącznej troski o nią — oraz próba możliwego odcięcia się od życia społecznego — a więc jakby swoisty „egoizm rodziny". Nie będzie on jednak nam groził, jeśli nie będziemy oddzielać spraw rodzinnych od spraw społecznych, włączając pierwsze harmonijnie w drugie.

Otóż należy rozpatrzyć czy tak pojmowanym funkcjom rodziny zagrażają istotnie jakieś czynniki, mogące doprowadzić do kryzysu. Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa.

TRUDNOŚCI EPOKI PRZEJŚCIOWEJ

ŻYJEMY w epoce przejściowej, w epoce wielkich przemian i nowych rozwiązań. Wywierają one niewątpliwy wpływ na życie rodzinne. Trzeba niejednokrotnie pokonywać i przezwyciężać szereg trudności, wynikających z konkretnych sytuacji, w których interes rodziny nierzadko zdaje się kolidować z interesem społecznym. Wiele z tych trudności jest przejściowych i w miarę rozwoju produkcji zniknie w ogóle. Niektóre bez obawy można odrzucić, jako niesłuszne, bądź nieistotne. Do takich należą np przestrzenne rozproszenie rodziny z powodu kształcenia się jako trudne do uniknięcia i zresztą czasowe (na okres studiów); trudności mieszkaniowe są niewątpliwie bardzo ważnym czynnikiem, ale bardziej zasadniczym przy wstępowaniu w związki małżeńskie niż jego trwania, a zresztą i ten moment jest raczej czasowy, gdyż sytuacja mieszkaniowa, choć powoli, lecz stale się poprawia. Również sprawa przestrzennego rozproszenia rodziny, wynikającego czasem z konieczności planowania, może być chyba rozwiązana bez większej szkody dla życia gospodarczego a z uwzględnieniem jednocześnie słusznych praw rodziny.

Istnieje natomiast problem istotny, niejednokrotnie już przewijający się w dyskusji — brak czasu na zajęcie się zasadniczą funkcją rodziny: opieki i wychowania potomstwa. Jako środek zaradczy zalecano lepsze wykorzystanie tego czasu, który mogą rodzice poświęcić rodzinie. Naturalnie jest to słuszne, ale nie rozwiązuje sytuacji, gdyż jest to rada zbyt ogólnikowa.

Oczywistą jest jednak rzeczą, że dążymy do zmniejszenia czynników utrudniających realizację funkcji rodzinnych. I tak wydaje się, że w pracy społecznej istnieją wyraźne tendencje do racjonalnego regulowania tego problemu, rozkładając ciężar pracy i zakres obowiązków z uwzględnieniem sytuacji rodzinnej.

Znacznie bardziej skomplikowany jest inny czynnik, a mianowicie praca zarobkowa kobiety poza domem. Uważa się na ogół, że utrudnia ona w stopniu bardzo silnym realizację wychowawczej i opiekuńczej funkcji rodziny. Konieczność pracy zarobkowej kobiety uzasadnia się w różny sposób. Niewątpliwie krzyżuje się tu wiele momentów, zarówno ekonomicznych jak i psychologicznych (np. dążenie kobiety do niezależności). Nie badając ich, jako rzeczy w tym wypadku zbędnej, należy się zastrzec również przeciwko tego rodzaju twierdzeniom a priori, że „kobieta otworzywszy raz drzwi domu, nie zatrzaśnie ich z powrotem, ani nie zatrzyma się w progu" (p. Żuromska), gdyż jest to supozycją, która wymagała by badań psychologicznych.

Fakt pracy zarobkowej żony na równi z mężem włącza kobietę w proces produkcyjny nie tylko w skali ogólno-państwowej, lecz przede wszystkim w rodzinie, gdzie przesuwa się ona z pozycji zawodowo-biernej na zasadniczym odcinku zaspakajania potrzeb materialnych rodziny na zawodowo-czynny. Wzrasta odpowiedzialność kobiety i wzrasta również zakres jej obowiązków i pracy, lecz równocześnie wytwarza się silniejsza spójnia z mężem w dziele zdobywania środków na zaspakajanie potrzeb domu. Żona przestaje być zainteresowana wyłącznie wydatkowaniem pieniędzy zdobytych przez męża, lecz sama bierze udział w ich uzyskaniu, dzieląc z mężem zarówno troski jak i radości z tym zazwyczaj związane. Nie może to pozostać bez silnego wpływu na zacieśnienie się węzłów łączących małżonków; rodzina przekształca się we wspólny jakby warsztat pracy zarobkowej. Dlatego twierdzę, że praca zarobkowa kobiet jest jednym z ważniejszych czynników wzmacniających trwałość związku małżeńskiego. Lecz oczywiście nie jedynym.

Z drugiej zaś strony praca zarobkowa kobiety utrudnia niewątpliwie spełnianie przez nią funkcji rodzinnych.

Aby więc nie dopuścić do kryzysu funkcji rodziny, należy przedsięwziąć szereg środków zaradczych. Będą one niewątpliwie różne. Niektóre były w dyskusji wymieniane: mechanizacja pracy domowej, by dać więcej czasu na zajęcie się dziećmi, produkcja gotowych potraw, wreszcie żłobki; na marginesie: porównanie przez p. Mańczakową żłobków ze szkołami publicznymi i nauczycielem prywatnym jest nieprzekonywające. Dodałbym do nich jeszcze: rozwój spółdzielczości chałupniczej, umożliwiającej pracę zarobkową kobiet w domu oraz normalizację życia, by uchronić kobietę-żonę od dokuczliwych a drobnych kłopotów gospodarskich. Oczywiście, że nie są to środki radykalne i żaden nie może odegrać decydującej roli lecz razem wzięte mogą pomóc i ułatwić rodzinie spełnienie jej funkcji.

Tak więc nie można dać jednolitej odpowiedzi na postawione przez p. Żuromską pytanie: Czy kryzys rodziny? Odpowiedź musi być dwojaka. Z jednej strony wzmocnienie spoistości i trwałości związku małżeńskiego, wokół którego grupuje się rodzina, z drugiej zaś niewątpliwie trudności w których przezwyciężaniu niezbędny jest zarówno wysoki stopień uświadomienia społecznego jak odpowiedzialność w traktowaniu obowiązków zaciągniętych wobec rodziny.

Tadeusz Wierzbicki

AKTUALA księgarniane

POWSZECHNIE wiadomo jak bardzo jeszcze — niestety — zaniedbane są u nas prace bibliograficzne w ogóle, bibliografia zaś czasopism w szczególności. Toteż z niebywałą radością i uznaniem odnotować należy fakt, że — niezależnie od prac mających na celu nadrobienie zaległości na tym odcinku, niezależnie od wznowienia dobrego zwyczaju drukowania przez redakcje spisów treści poszczególnych roczników — zjawiają się również próby bibliograficznego zestawienia cennych nieraz materiałów publikowanych w periodykach i to zestawienia ich prawie bieżąco. Niewielką tylko przesadą będzie twierdzenie, iż możność sięgnięcia do najnowszych źródeł potrzebna jest najbardziej gdy chodzi o zagadnienia literackie. Takie właśnie przekonanie dyktuje tu wyrazy prawdziwej wdzięczności pod adresem inicjatorów oraz autora — dobrego krytyka, znanego czytelnikom „Zeszytów Wrocławskich" — za pożyteczny dodatek „Pamiętnika Literackiego".[1])

Bibliografia Czesława Hernasa, w założeniu swoim mająca charakter podręczny, „warsztatowy", nie dubluje odpowiadającego jej działu „Bibliografii Zawartości Czasopism", miesięcznika Instytutu Bibliograficznego, lecz przeciwnie — nie będąc bibliografią stricto sensu, znakomicie ułatwia orientację, jest o wiele wygodniejszym przewodnikiem wśród artykułów i recenzji literackich z pierwszego półrocza 1950. Przede wszystkim, uwzględniając nawet dwa najambitniejsze dzienniki („Gazetę Robotniczą" i „Trybunę Ludu"), umiejętnie selekcjonuje materiał przez pominięcie drobniejszych wzmianek nieprzydatnych z naukowego punktu widzenia, a — co najważniejsze doskonale systematyzuje materiały wyzyskane. Tak więc, obok zasadniczych haseł autorskich znajdziemy w pracy Hernasa takie wyodrębnione całości jak: estetyka, dydaktyka literatury, język literacki, literatury poszczególnych narodów omawiane w artykułach syntetycznych, czy wreszcie chronologiczne zestawienie zjazdów związanych z zakresem tej bibliografii. Uwzględnia również Hernas ważniejsze, głównie teoretyczne, materiały teatralne.

Inną zaletą omawianej pozycji jest chronologiczne zestawienie polemik, choćby z odstępstwem od obowiązującego układu alfabetycznego. — Całość — ze słusznych względów, że by nie gubić nazwisk krytyków literackich — ujęta jest w system alfabetyczno-liczbowy. Szkoda tylko, że niezbyt uważna korekta nie wychwyciła błędów indeksu.

Zgadzając się prawie ze wszystkimi założeniami autora, który w krótkim wstępie tłumaczy pewne uproszczenia tekstu bibliograficznych notatek — trzeba wszakże jedno z nich zakwestionować. Teza, że „...powszechny wygląd tytułów, w których niemal z reguły (?) pojawia się nazwisko autora czy tytuł książki" nie powinna zwalniać od przedrukowywania tegoż tytułu. Jeśli jednak zależy — powiedzmy — na oszczędności czasu autora i miejsca w druku, czy nie warto by podawać chociaż stronę pisma, do której nas bibliografia odsyła? — Oczekując z niecierpliwością kontynuowania tej już na ogół dobrze rozpoczętej pracy, można się chyba spodziewać, że następne zeszyty będą jeszcze wydatniej, aż do szczegółików, ułatwiać odnajdywanie tak na każdym kroku potrzebnych materiałów literackich.

ań

[1]) Czesław Hernas: „BIBLIOGRAFIA LITERACKA" styczeń - czerwiec 1950, dodatek do „Pamiętnika Literackiego" rocznik XLI, 1950 Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1951, str. 60.

Leon DWERNICKI

W BLASKU PRZESZŁOŚCI (2)

CZARNCA — WIEŚ NIEZNANA

KIEDY nawet u Franciszka Finkla w jego sławnej „Bibliografii historyi Polskiej“ nie znalazłem wzmianki o Czarncy, ogarnęła mnie czarna rozpacz.

Czarnca, miejsce urodzenia i wiecznego spoczynku wielkiego hetmana Stefana Czarnieckiego, nie doczekała się jeszcze obszernej monografii, gdyż praca księdza J. Wiśniewskiego „Historyczny opis kościołów, miast, zabytków i pamiątek powiatu Włoszczowskiego“, daje tylko opis kościoła. Teren więc musiał uzupełnić braki, dopisać i domalować to, co ludzie od wieków zapomnieli uczynić.

Zepchnąwszy część odpowiedzialności na teren i zawierzywszy mu na kredyt, poczułem błogi spokój, ostatecznie nie tylko ja jestem odpowiedzialny za reportaż o Czarncy. Wszak ziemia gromadzi prochy i pisze nimi księgę, z której człowiek może coś nie coś odczytać. Należało więc pojechać i spróbować przesylabizować to, co w ciągu wieków napisane zostało o Czarncy.

GNIAZDO CZARNIECKICH

BYŁEM jedynym pasażerem, który wysiadł na przystanku kolejowym w Czarncy. Do wsi, odległej o 2 kilometry, prowadzi gościniec, a białe brzozy tworzą jego malownicze obramowanie.

Do Czarncy Czarniecki przybywał, by wytchnąć po trudach wojennych i starał sie gniazdu swojemu nadać wygląd pięknej rezydencji, jeńców sprowadzał, by nowe budowle wznosili i rolę uprawiali.

Gdy po godzinnym marszu znalazłem się wśród opłotków wsi Czarncy, zatrzymałem się, by spojrzeć, czy dojrzę jakieś ślady „historycznej mieszanki“ ludzi. Wieść bowiem głosi, że niektóre rodziny, to w prostej linii potomkowie jeńców, osiedlonych w Czarncy przez Czarnieckiego. Trzeba być jednak wprawnym antropologiem, by wśród tej ciżby dorodnych kobiet i dzieci dostrzec wpływy zwycięskich bojów hetmana. Może u kilku dzieci o bardziej śniadej cerze i lekko skośnych oczach można by się doszukać cech ich pradziadów.

Dziś Czarnca, to niewielka, schludna wioska, posiadająca duży budynek szkolny, spółdzielnię i świetlicę.

Ciekawym jednak zabytkiem, który sprowadza tu liczne wycieczki, jest kościół, ufundowany przez Stefana Czarnieckiego w roku 1640.

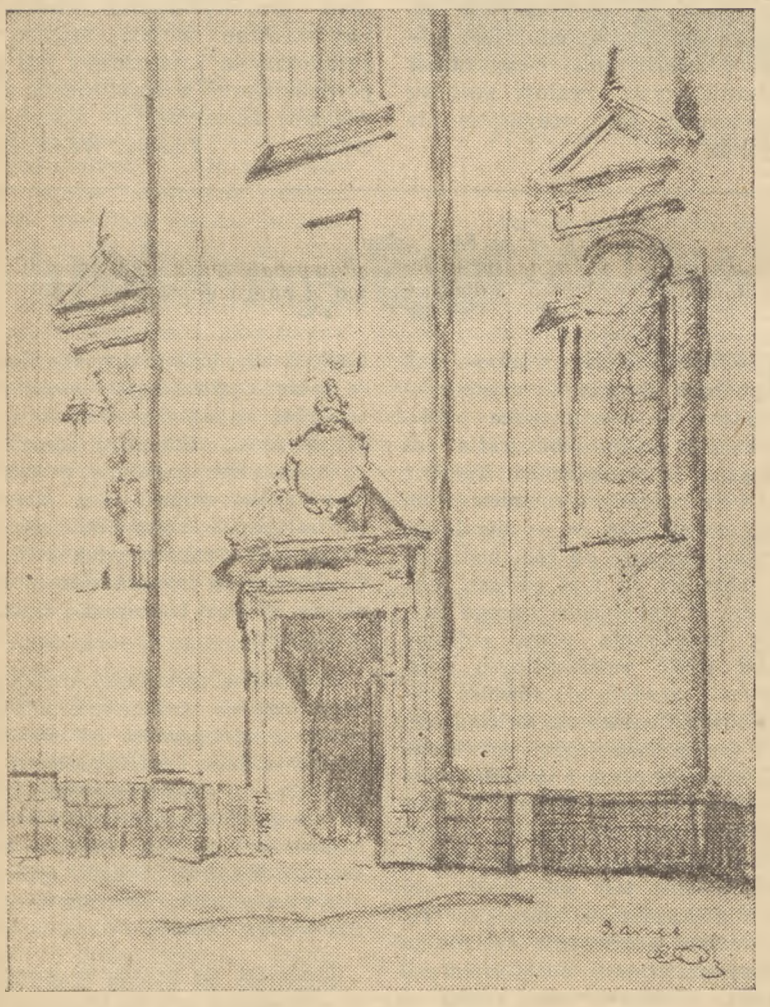

Wejście do kościoła w Czarncy *rys. prof. Olszewskiego*

Tu narodził się Stefan Czarniecki, człowiek, który w historii naszej odegrał rolę niepospolitą. Gigant to prawdziwy — wśród skarlałej magnaterii i kresowych królewiąt, wybija się na najwyższy szczyt władzy i dostojeństwa, nie pochodzeniem swoim, gdyż to jest dość skromne, ale czynem i zrozumieniem, że niekarność i lekceważenie władzy doprowadzić muszą kraj do zguby. On, którego przodkowie jeszcze niedawno do sekty ariańskiej należeli, stanie się żarliwym obrońcą majestatu władzy królewskiej i Kościoła. Jego zbrojne ramię osłoni słabego króla, porazi Szwedów, księcia siedmiogrodzkiego, margrabiego brandenburskiego, Kozaków, Tatarów i wesprze w potrzebie króla duńskiego. Po zwycięskiej kampanii sto sztandarów rzuci pod nogi Janowi Kazimierzowi

KOŚCIÓŁ POD WEZWANIEM ŚW. FLORIANA

JESZCZE jeden skręt wiejskiej uliczki, mijam grupę starych kasztanów i potężnych lip — jestem u celu.

Odmykam lekko żelazną furtę ogrodzenia i stoję u głównego wejścia do kościoła św. Floriana.

Legenda głosi, że gdy strudzony bojami Stefan Czarniecki przybył do Czarncy, zsiadł z konia, szablę odpasał i ręce, na których widniały jeszcze krwawe ślady z ostatniej potyczki z wrogiem, w wapnie umywszy, pierwsze cegły pod fundament świątyni, którą tu budować polecił, położył.

Kościół jak najściślej związany jest z postacią Stefana Czarnieckiego. Tyle pamiątek skupia w sobie ta stara budowla, że bez przesady powiedzieć można, iż każdy kamień, cegła, ba, nawet okoliczne lipy — to naoczni świadkowie trudów i znojów wielkiego rycerza.

Ale wróćmy do faktów, do tego, co można jeszcze odczytać z murów kościoła.

Świątynia zbudowana jest w stylu odrodzenia, lekko zniekształconego przez barok.

Nad głównym wejściem mieszczą się dwie marmurowe płyty, jedna mniejsza, owalna, a nad nią większa, prostokątna. Obie zdobią herby rodziny Czarnieckich — Łodzia.

Zadzieram głowę do góry, by odczytać napisy — daremny trud. Płyty tworzą już dziś dwie szare plamy na tle muru kościelnego, trudno nawet odgadnąć, że są one marmurowe. Napisy, to jakaś nieczytelna mozaika kresek i wykrętasów. Czas i wpływy atmosferyczne, deszcze, śniegi i słońce powoli, ale systematycznie niszczą cenne pamiątki. Upłynie jeszcze lat dziesiątek i tylko z zachowanego w skarbczyku kościelnym tłumaczenia tych łacińskich napisów, dowiedzieć się będzie można znaczenia wyrytych na marmurze słów. Oto treść:

„R.P. 1664. w którym Stefan na Czarncy Czarniecki, wojewoda ziem ruskich, starosta ratyński, tykociński i piotrkowski, po zwycięstwach odniesionych nad królem Gustawem Szwecji, a Jerzym Rakoczym — Siedmiogrodu władca i odbyciu zwycięskiego pochodu przez Danię, trzy armie rosyjskie pokonawszy, Litwę powrócił Polsce, zdobywszy na nieprzyjaciołach sto sztandarów, wodza wojsk nieprzyjacielskich dla Jana Kazimierza na sejm przeznaczył. Świątynię dziedzictwa tego, drewnianą, wiekiem 400 lat osłabioną, z lepszego materiału budując, poświęcił Panu wojsk trzykroć Większemu i Dobremu, dla którego przez lat ciągłych czterdziestu ku dobru wiary katolickiej nie zmordowan walczył, na pamiątkę zwycięstw swoich z gruntu wystawił“.

Napisów takich, dotyczących rodziny, bądź bezpośrednio hetmana, spotykamy jeszcze kilka. Ciekawszy z nich umieszczony jest na tablicy nad odrzwiami kamiennymi, znajdującymi się przy wejściu z prezbiterium do zakrystii. Treść ich jest następująca:

„D.T.O.M. Najświętszej Maryi Pannie i św. Florianowi, tego kościoła patronowi Stefan, dziedzic na Czarncy Czarniecki, wojak i dworzanin Jego Królewskiej Mości dn. 20 czerwca r. 1640 swoim kosztem zbudował“.

Według podań parafia w Czarncy założona została już około roku 1200. Pierwotny kościół był drewniany, a kolatorami jego byli dziedzice Czarncy i Lachowa. Ten to stary kościół wielki hetman przebudował, a raczej od nowa wymurował i darami obdarzył.

Jak nić pajęcza spływają promienie słońca przez okna nawy i jasną plamą kładą się u stóp ołtarza.

Spokój, tak charakterystyczny dla naszych kościołów wiejskich, udziela się każdemu, kto przekroczy próg tych świątyń.

Jestem sam, w półmroku i ciszy...

Podnoszę głowę, z wielkiego ołtarza spogląda na mnie obraz Najświętszej Maryi Panny — Stella Maris. Przed tym artystycznie wykonanym ołtarzem klęczał człowiek i prosił Stwórcę o moc, by Rzeczpospolitą z topieli wydobyć.

Żołnierski to ołtarz, gdyż przyozdabiają go figury świętych rycerzy: św. Władysława, Jerzego, Teodora i Michała, a w górnej części znajduje się obraz św. Floriana.

W prawej ścianie prezbiterium wmurowana jest wielka, w r. 1935 wykonana, brązowa płaskorzeźba, wyobrażająca hetmana z buławą w dłoni, na koniu, pod płaskorzeźbą prosty o surowych kształtach sarkofag zawiera prochy pogromcy Szwedów. Ale widać już takie było przeznaczenie, że ten, który całe życie przebył w obozie, na koniu, lub w walce i po śmierci nie zaznał spokoju. Zmarł, jak żołnierz, z dala od domu, w małej wiosce Sokołówce, w chacie chłopskiej.

„Po dokonaniu tylu dzieł wojennych spoczął nareszcie w chwale. Nie prędzej wojować, niż żyć przestał. Duch, który oddał w obozie, wzbił się ku gwiazdom roku Pańskiego 1665, dnia 19 lutego“, głosi stary rękopis, podający ostatnie chwile wielkiego człowieka.

Zwłoki w marcu sprowadzone zostały do Warszawy. Po ceremonialnym pogrzebie odwieziono je do Czarncy, gdzie w krypcie kościoła, w skromnej trumnie, spoczęły. Wydawało się, że Rzeczpospolita nie zapomni o swym wiernym żołnierzu i godny nagrobek mu wzniesie. Wiele czasu minęło i rozsypało się w proch ciało hetmana, a nagrobek nie stanął.

Sarkofagu i przeniesienia do prezbiterium doczekały się prochy dopiero w r. 1935.

CENNE PAMIĄTKI

KOŚCIELNY, Stanisław Rak, przez zakrystię, prowadzi mnie po wąskich drewnianych schodkach do skarbczyka, dziś trochę szumnie nazwanego muzeum.

Maleńka izdebka, dość ciemna, kryje w sobie istne skarby historyczne. Kościelny otwiera małą szafkę i wyjmuje z niej krzyż srebrny, ręcznie kuty z blachy, z inicjałami Stefana i Zofii Czarnieckich, jest to votum poślubne; następnie kielich srebrny pozłacany, z napisem i datą 1633 r., dar Czarnieckiego po szczęśliwych walkach przy boku króla Władysława IV i otrzymaniu stopnia porucznika.

Tuż obok szafy, na specjalnych wieszakach wiszą dwa niezwykle cenne dary. Pierwszy to biała kapa; kaptur jej, to część słynnego czapraka, zdobytego na królu Karolu Gustawie, kiedy to przy obiedzie na plebanii w Rudniku w r. 1655 zaskoczony, srebrną zastawę na stole zostawiwszy, uciekł ścigany przez podjazd Czarnieckiego. Z podziwem oglądam ciężki, srebrem tkany czaprak.

„Bogato wyposażył kościół Czarniecki — mówi kościelny — oto niech pan spojrzy na te ornaty, to wszystko dary hetmańskie“ i wskazuje mi piękny ornat z herbami Czarnieckich oraz cztery inne liturgiczne szaty z bogatych materii wykonane. Prócz tego w skarbczyku znajduje się jeszcze 9 ornatów z XVIII w., wszystkie jeszcze dobrze zachowane.

Do niezwykle ciekawych pamiątek należy na desce modrzewiowej wycięta, prawie naturalnej wielkości, postać hetmana na koniu w stroju rycerskim. U stóp konia korona polska. Jest to feretron noszony prawdopodobnie podczas uroczystości żałobnych. Dziś farby już prawie zanikły, a w słabym świetle skarbczyka z trudem da się szczegóły tego niezwykłego malowidła odróżnić.

Gdy chcę opuścić ciasne pomieszczenie „muzeum“, uwagę moją ściągają dwie grube księgi leżące na stoliku pod oknem. Biorę je do ręki, pierwsza to czcigodny mszał

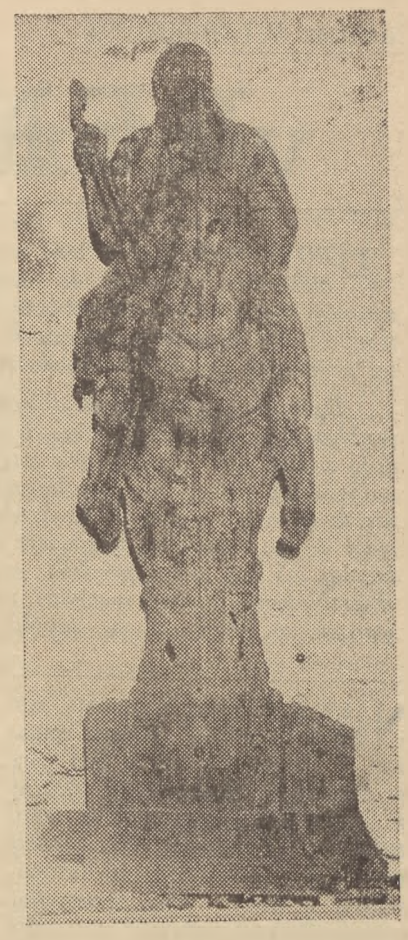

Feretron niesiony podczas uroczystości pogrzebowych fot. prof. Olszewski

z r. 1646, używał go brat hetmana Tomasz, który był proboszczem w Czarncy i budową kościoła kierował.

Druga księga to „Arka Testamentu. Zamykająca w sobie kazania Niedzielne. Część wtóra“ Kraków 1649.

Czas opuścić skarbczyk i otrząsnąć się z tych wspomnień historycznych.

Mroczno już, gdy schodzę do zakrystii. W kościele płoną świece w ołtarzu, w nawie klęczą chłopi, kobiety i dzieci. Za chwilę ksiądz proboszcz Franciszek Serafin odprawi nabożeństwo majowe. I jak za dawnych lat pieśń pobożna ludu wiejskiego zadźwięczy w świątyni na chwałę Bogu i za wieczny spokój tego, co w czasie potopu był nieustraszonym sternikiem na tonącym już okręcie.

*

GDY odbywam drogę powrotną do przystanku kolejowego i przechodzę przez Czarncę-wieś, która dziś jest „pod bronią“, w pełnej gorączkowej pracy nad wykończeniem wiosennych prac w polu, to mimo woli nasuwa mi się pytanie, a cóż chłopi robili w tym ciężkim okresie, kiedy niesforna szlachta buntowała się, wichrzyła, i przechodziła na stronę Szwedów?

I na to pytanie daje odpowiedź historia. Chłopi nie ufali najeźdźcom i wiernie stali w szeregach obrońców ojczyzny. Popierali ruch partyzancki przeciw Szwedom, to też kiedy Jan Kazimierz powrócił do kraju i widząc, jaką rolę odegrali chłopi w obronie ojczyzny, złożył uroczyste ślubowanie w Katedrze lwowskiej 1 kwietnia 1659 r. Oto słowa przyrzeczenia królewskiego:

„Ponieważ zaś z wielką boleścią mego serca widzę, że wszystkie klęski, jakie w ostatnich siedmiu latach na moje królestwo spadły, jako to zaraza, wojny i inne nieszczęścia, zesłane zostały przez Najwyższego Sędziego jako chłosta za jęki i ciemiężenie chłopów, przyrzekam więc i ślubuję, że po odzyskaniu pokoju użyję ze wszystkimi stanami wszelkich sposobów, ażeby lud mego królestwa od wszystkich niesprawiedliwych ciężarów i uciśnienia uwolniony został“.

Idąc przez Czarncę myślę o tym niespełnionym ślubowaniu i nie znajduję nic, aby usprawiedliwić króla.

Leon Dwernicki

»NĘDZNICY«

W ZWIĄZKU ze 150 rocznicą urodzin Wiktora Hugo, oglądamy na naszych ekranach adaptację „Nędzników" zrealizowaną 19 lat temu przez Raymond'a Bernard'a i André Lang'a.

Było by zupełną niesprawiedliwością oceniać ten film z punktu widzenia dzisiejszych osiągnięć sztuki filmowej. Filmowe środki wyrazu starzeją się szybko, tracąc aktualność, przestają przemawiać do widza, a gdy oglądamy modne często filmy sprzed piętnastu lat zamiast wzruszać się, śmiejemy się lub po prostu nudzimy. Istnieją na pewno filmy o nieprzemijających walorach, klasyczne dzieła filmowe, w których humanistyczne wartości treści, genialność reżyserii, sprawiają, że prymitywizm techniczny nie osłabia ich wartości artystycznej.

Film „Nędznicy", który oglądamy obecnie na naszych ekranach, niewątpliwie nie jest klasycznym dziełem filmowym, mimo to nie śmieszy ani nudzi, a co więcej: po 19 latach swego istnienia, cieszy się wielkim powodzeniem i u nas i w wielu krajach europejskich. Jest to w dużej mierze zasługą tekstu literackiego Wiktora Hugo, który stworzył historię ludzką o niesłabnącej sile tragizmu, o nieprzemijających zaletach prawdy i realizmu oraz zasługą scenarzystów, usiłujących z największym pietyzmem przenieść powieść na ekran.

Film Bernard'a i Lang'a jest jedną z najlepszych adaptacji dzieł wielkiego pisarza. Od początku istnienia filmu sensacyjność fabuły powieści Wiktora Hugo była wielką pokusą dla realizatorów filmowych. Z szeregu filmów niemych najlepszą była wersja francuska zrealizowana w roku 1925. Twórca jej Henri Fescourt musiał powiedzieć wiele bez słów, przemawiając typową dla filmu niemego symboliką, wyróżnił się ciekawą, twórczą kompozycją obrazów filmowych, subtelnym doborem szczegółów.

Film ten był tak dobry, że Raymond Bernard i André Lang tworząc w 10 lat później swój film, dźwiękowy a więc o zupełnie innych założeniach scenariuszowych, skorzystali z doświadczeń Fescourt'a. Najlepsze sceny z ich filmu, wyróżniające się piękną fotografią, pełne artystycznego autentyzmu, takie jak: spotkanie Cosetty z Jean Valjeanem w lesie, Jean Valjean wędrujący do Digne, śmierć Gawroche'a na barykadzie, zrealizowane zostały pod wpływem filmu Fascourt'a.

Sprawa transpozycji tekstu literackiego na scenariusz filmowy wymaga od scenarzysty umiejętnej selekcji materiału sytuacyjnego i opisowego powieści. Zasadnicza trudność — to skrócenie wielkiego dzieła do rozmiaru scenariusza filmowego lub nawet, jak w obecnie u nas wyświetlanej wersji, przystosowanie filmu do dwugodzinnego wyświetlenia. Skracanie dzieł klasycznych jest rzeczą bardzo ryzykowną i dlatego, że w doskonałym dziele literatury wszystko jest kompozycyjnie ważne, zamierzone przez autora, ma swój sens i wymowę potrzebną dla zrozumienia całości i dlatego, że widz jest często czytelnikiem powieści i oczekuje od filmu wiernego jej odbicia. Dlatego wielu realizatorów filmowych twierdzi, że raczej nie należy realizować całkowitej adaptacji filmowej wielkich dzieł Wiktora Hugo, lecz opracować starannie pewne ich fragmenty. Słuszność tych tez potwierdza radziecki fragment „Nędzników", w którym opracowano jedynie wzruszającą historię dziecka paryskiej ulicy Gawroche'a. Film ten pod tytułem „Urwis Gawroche" jest wierną i szczegółową adaptacją fragmentu „Nędzników".

Raymond Bernard i André Lang zdecydowali się na pokazanie całości. Efekt jest taki, że film jest jakby uproszczeniem wielkiego dzieła, filmowym popularnym wydaniem „Nędzników" (coś w rodzaju skrótu drukowanego w „Przekroju", tylko skrótu dokonanego z większymi ambicjami artystycznymi).

Dużą zasługą twórców jest fakt, że uprościli tylko, nie zmieniając intencji i założeń autora, jak to uczyniono kilkakrotnie w Hollywood. Posługując się jak szyldem popularnym tytułem powieści i słynnym nazwiskiem Wiktora Hugo, zamieniono tam bez skrupułów treść jego wielkich dzieł. Amerykańska wersja „Nędzników", to w tragicznym skrócie historia galernika ściganego przez policję, a postać Quasimoda z słynnej powieści „Katedra Notre Dame" to coś w rodzaju drugiego Tarzana używającego zamiast lian sznurów przy dzwonach w katedrze do makabrycznych popisów gimnastycznych. Adaptacji amerykańskich nie uratowały nawet wspaniałe kreacje artystyczne — w wersji dźwiękowej — Charles Laughtona — w niemej świetnego aktora charakterystycznego — Lon Chaney'a.

We wznowionej obecnie wersji „Nędzników" szczególnie wielkie wrażenie, i to po tylu latach, robi kreacja Harry Baura jako Jean Valjeana. Zestarzały się natomiast postacie bohaterek i pod względem interpretacji aktorskiej, ze śmieszną dzisiaj charakterystyką i pod względem koncepcji reżyserskiej, przypominają stale niestety widzowi, że film nakręcony został w 1934 r. Wymienić tu należy szczególnie rażący moment śmierci Eponiny, nieprzekonywającą miłość Cosetty itp.

Jedną z olbrzymich zalet powieści Wiktora Hugo jest z wielkim rozmachem skomponowane tło historyczne i obyczajowe, tym ciekawsze, że tak różne w trzech dość odległych od siebie odstępach czasu, w których rozgrywają się opisane wypadki. Autor wprowadza czytelnika w każdą nową sytuację, zaznajamiając go szczegółowo z bohaterami. W filmie zabrakło tego wszystkiego. Dlatego mimo kondensacji dramatycznie narastających wypadków, mimo ich dość wiernego powtórzenia film w dużej mierze stonował silną polityczną deklarację autora zawartą w powieści.

P. S. W pewnej księgarni sprzedawca powiedział mi, że „skrót" „Nędzników" w „Przekroju" i film wzbudziły wielkie zainteresowanie powieścią, o którą się wszyscy bezustannie pytają. Wydaje się, że 150 rocznica śmierci Wiktora Hugo powinna być okazją do wydania dobrego polskiego tłumaczenia „Nędzników" i innych utworów tego pisarza.

LI. G.

Co to jest nagroda „De Renouveau Francais"

Na świecie nie wiele istnieje katolickich nagród literackich o szerszym znaczeniu. Do nagród tego typu pretenduje „Prix de Renouveau Français", ufundowana we Francji po ostatniej wojnie.

Po czteroletnim okresie niewoli, bezpośrednio po wyzwoleniu politycznym, kilku pisarzy zgrupowanych w Syndykacie Pisarzy Katolickich postanowiło ufundować nagrodę, którą nazwano nagrodą „Odrodzenia Francji". Miała ona na celu wyróżnienie tych dzieł katolickich, w których szczególnie wyraźnie będzie się odzwierciedlać tradycjonalistyczna myśl francuska. „Tradycjonalizm" i „odrodzenie" jako pojęcia tylko pozornie pozostają pomiędzy sobą w sprzeczności. W tym wypadku chodzi o pewną wierność szczególnej formie humanizmu właściwego psychice francuskiej, który zawsze promieniował z Francji na cały świat i stał się temu światu potrzebny w momencie jego dźwigania się z upadku wywołanego zawieruchą wojenną.

Skład jury nagrody stanowią: Jeanne Ancelet-Hustache, Geneviève Duhamelet, J. J. Bernard, G. Bernoville, L. Chaigne, G. Chastel, L. Estang, Daniel-Rops, G. de Champris, A. George, J. Herissay, J. Madaule, G. Marcel, A. Moreau, J. Soulairol. Nagroda wynosi 50 tysięcy franków. Przyznawana jest corocznie w listopadzie.

W pierwszym okresie poszukiwań kandydatów do nagrody, zaczęto interesować się autorami nieznanymi, którzy nie mieli jeszcze za soba dorobku literackiego, których dzieła, znajdując się w maszynopisie, nie znalazły dotąd wydawcy. Na tej zasadzie została nagrodzona w roku 1946 książka *Claude Franchet* „Les Trois Demoiselles Collas", pełna wdzięku historia mieszkańców prowincjonalnego miasteczka z jego naiwnymi zwyczajami i prostotą. Powieść przedstawiona do nagrody znalazła zaraz wydawcę i została przyjęta życzliwie przez czytelników. Lecz mimo to nie zdobyła sobie większego rozgłosu, a tym samym nie podniosła znaczenia nowej nagrody.

W roku 1947 nie zrezygnowano również z manuskryptów, jakkolwiek zdecydowano, że nagrodzona rzecz musi ukazać się natychmiast w wydaniu książkowym i to w pełnym sezonie literackim. Liczono że w ten sposób zapewni to przyznanej nagrodzie pożądany rozgłos. Nie brakowało dzieł wartościowych, co spowodowało dużą rozbieżność głosów jury. Na koniec z urny wyborczej wyszło po wielu głosowaniach nazwisko młodej powieściopisarki, nieznanej szerszemu ogółowi. „Les gens de Mogador" *Elżbiety Barbier* usprawiedliwiło w pełni wybór jury, było bowiem dziełem prawdziwego talentu.

W roku 1948, opierając się na doświadczeniu lat poprzednich dano pierwszeństwo tym pracom, które ukazały się już na półkach księgarskich. Jury jednak znalazło się w kłopocie nie mogąc zdecydować się na wybór pomiędzy wielu przedstawionymi do nagrody dziełami, z których żadne nie było zdecydowanie lepsze od pozostałych. Ten stan niezdecydowania przeciął przewodniczący, proponując nagrodzenie książki *Raïssy Maritain* „Les Grandes Amitiés" wydanej podczas wojny w Stanach Zjednoczonych, a która w tym czasie ukazała się we Francji.

W następnych latach nie natrafiano na podobne trudności. Wybór „Au bout du monde" *Henryka Queffèlec'a* w 1949 roku i „Les raisins verts" *Piotra Henryka Simon* w 1950 dokonał się zdecydowaną większością głosów.

W ciągu więc pierwszych 5 lat istnienia nagrody przyznana ona była 4 razy za powieść i raz za zbiór esejów. Warto przy tym zaznaczyć, że w tym czasie uwagi jury nie zwróciły ani znakomite „Dialogues des Carmelites" Bernanosa, ani książki Saint-Exuperego, ani doskonała powieść ks. Pézeril „Rue Notre Dame", ani powojenne utwory Van der Meerscha, Mauriac'a czy Marcela. Z 4 nagrodzonych powieściopisarzy tylko Simon i Queffèlec weszli na stałe do katolickiej literatury francuskiej, tworząc zastęp najmłodszych pisarzy (Simon nota bene nie jest wcale taki młody — urodził się w 1905 roku).

Ale nagroda za 1951 rok stała się prawdziwą „bombą". Otrzymała ją dość znana autorka *Claude Longhy* za powieść „Annabelle", stanowiącą II część trylogii p. t. „La mesure du monde". (Inna jej powieść „Le fruit de vos entrailles" otrzymała w 1949 roku t. zw. „Nagrodę Czytelników"). Przyznanie nagrody nie obeszło się jednak bez awantury. Gdy większość jury przyznała nagrodę C. Longhy, reszta członków opuściła demonstracyjnie zebranie.

Francuska nagroda katolicka jest tylko o rok starsza od polskiej nagrody im. Pietrzaka. Lecz choć tak młoda pretenduje do znaczenia jednej z reprezentacyjnych nagród literackich we Francji. Jednakże jej pokłosie nie jest, jak widzimy, zbyt cenne i bez zarozumiałości możemy chyba powiedzieć, że znaczenie nagrody im. Pietrzaka w Polsce przerasta o wiele znaczenie nagrody Renouveau Français we Francji, przede wszystkim dlatego, że ta pierwsza jest poparta stanowiskiem szerokiej opinii. Ludzie i utwory nagradzane dotychczas nagrodą im. Pietrzaka były ludźmi i utworami, które zdaniem opinii katolickej na tę nagrodę w pełni zasłużyły. Już za parę tygodni przekonamy się czy i piąta z kolei nagroda im. Pietrzaka będzie w równym stopniu wyrazem zgodności jury i opinii.

M. D. Dobraczyńska

WIECZORY POD LIPĄ

Abrakadabra

LEŻY przede mną... Jakże nazwać to, co leży przede mną? Banalnego terminu „książka" wprowadzać tu nie wypada. Powiem więc raczej: leży przede mną DZIEŁO.

Czyje dzieło? Ba, żebym to ja wiedział! Wprawdzie ponad tytułem figurują słowa „Albertus Magnus", ale ponieważ w tekście mówi się o zdarzeniach, jakie zaszły w roku 1743, więc to chyba jakiś inny Albertus Magnus, którego nie należy mylić ze średniowiecznym filozofem i uczonym. Sprawa komplikuje się przez to, że autor rzeczonego DZIEŁA to również filozof i uczony. I to taki filozof i uczony — że hej!

Komuż więc przypisać autorstwo DZIEŁA? Może wymyśleć coś analogicznego do owej formuły: „Autorem dzieł przypisywanych Homerowi jest bynajmniej nie on, ale inny Grek noszący to samo imię, który również był ślepy?

Ale oto, gdy umysł mój zmaga się z jakże trudną i ciemną zagadką, a serce szamoce się w udręce niepewności, oko pada przypadkowo na kartę otwartego DZIEŁA i odczytuje zdanie treści następującej: „Bo niedoścignione i niepojęte przez nas ludzi są tajemnice natury!". Ha! czyż to nie wskazówka? Ucisza się tedy łagodnie burza szarpiąca mój umysł i serce; z niespokojnego oceanu zawodnej i kruchej wiedzy naukowej wypływa myśl moja na spokojne flukta owej WIEDZY TAJEMNEJ, z której natchnienia powstało DZIEŁO. Pochylam się więc nad nim i czytam od miejsca, na które, kierowany siłą tajemną, padł przed chwilą mój wzrok. „Czy codzienne doświadczenia nie dają nam dosyć dowodów, że dzieją się rzeczy niepojęte? Spomiędzy wielu przykładów przytoczymy tylko jeden: „kto wątpi jeszcze w różne skutki magnesu? Kto je może sobie wyobrazić? Niezaprzeczenie napotykamy codziennie na skutki ukrytej siły i wydarzenia, w które żaden człowiek by nie uwierzył. Jednak o tym można się przekonać. Skąd przychodzi np., że gdy się jabłko skrobie naprzeciw kwiecia, działa ono rozwalniająco, a gdy się je skrobie przeciwnie i zje, działa zatwardzająco?"

Ledwiem to przeczytał, zrywam się od biurka. Pędzę do kredensu. W jedną dłoń chwytam jabłko, w drugą — nóż. Ale oto nagła refleksja: stanmego żołądka wymaga, abym skrobał jabłko „naprzeciw kwiecia". A jeżeli skutek okaże się zbyt natychmiastowy? Czyż nie opóźni się przez to moje zadanie przypomnienia światu DZIEŁA? Dobro ludzkości czy własne zdrowie? Tylko nikczemna kreatura, pozbawiona wszelkich uczuć altruistycznych, mogła by się zawahać w takiej chwili. Zwłaszcza, gdy czytało się słowa tak głęboko zapadające w serce: „Skuteczne moje środki lecznicze, które pomogły już ludziom i bydłu z bliska i z daleka, sprawiły, że ludzie pisali do mnie, abym te leki podał w druku. Nie miałem zamiaru podawać dużo w publicznym druku, aby nie wystawić się na nienawiść i naganę ludzi uczonych. Dlatego podaję tu mało środków domowych, by tym więcej poświęcić się nierozumnemu bydłu".

Znakomity autor, Albertus Magnus Secundus, nie wahał się „wystawiać na nienawiść i naganę" i to gwoli „nierozumnemu bydłu", a ja miałbym powodować się niskimi egoistycznymi popędami? Nie, to się po mnie nie pokaże!

Do DZIEŁA zatem i do dzieła! Zaprezentować światu książkę, która wydana została „czytelnikowi ku r a d o ś c i (podkreślenie moje — B. K.) i pożytkowi". Ba, ale jak się do tego zabrać? Na każdej stronicy istna orgia mądrości, jedna genialna myśl za drugą pędzi, jedna rewelacja drugiej po piętach depcze. Pozostawmy rzecz przypadkowi: gdzie się DZIEŁO otworzy, z tej stronicy wypiszemy jedną genialność wybraną również na ślepo (będę trafiał palcem zamknąwszy oczy).

Czytajcie tedy i dziwujcie się:

„JAK POSIĄŚĆ NADZWYCZAJNĄ SIŁĘ. Weź dobrego czerwonego wina, zapieczętuj go dobrze w butelkę szklaną i włóż w Wielki Czwartek w mrowisko. Za rok w Wielki Piątek wyjmij flaszkę i gdy wypijesz z tego wina, doznasz cudu". (W naszych stronach mawia się: „Jak cię trzepnę w łeb, to doznasz cudu").

„UCZYNIĆ SIĘ DLA LUDZI PRZYJEMNYM. Noś oko dudka przy sobie, jeśli je będziesz nosić na piersiach, będą ci sprzyjać twoi nieprzyjaciele, a jeśli będziesz nosić we worku, zyskasz na każdym kupnie" (Zyskasz, pod warunkiem, oczywiście, że będziesz miał do czynienia z dudkami).

NA BÓL ZĘBÓW. Napisz na trzech drogach gwoździem od podkowy te słowa: Kex, Pax, Mex, ppo, in Folio. i wbij gwóźdź w ścianę; tak długo jak gwóźdź tkwi w ścianie, zęby nie bolą". (Nie bolą in Folio).

„W miesiącu sierpniu weź jaskółkę z gniazdka, w jej żołądku znajdziesz kamyczek, owiń go w płócienny płat i zawieś pod lewe ramię, to jest dobre na głupstwa i zrobi cię przyjemnym u ludzi". (Tej rady autor prawdopodobnie nie wypróbował osobiście).

„ŚRODEK NA PRZELANIE ŻÓŁCI. W roku 1743 wybuchła w pewnej miejscowości choroba żółciowa, pewnego poranku jeden z gospodarzy wszedł z butelką wódki do obory, nalał kieliszek pełen i rzekł do bydła, dzień dobry bracia, wasze zdrowie bracia, i wypił pełen kieliszek, potem dał wszelkiemu bydłu z niego pić, aż butelka była próżna; jego bydło przez to uratował, gdzie wszelkie inne w tej miejscowości pozdychało. Probatum". (Probatum. Ide, trenos botulis manore).

„DOBRY ŚRODEK NA DŁUGIE BIEGANIE. Jedz czosnek tak surowy jako też w potrawach, i noś z niego przy sobie, to będziesz mógł w dziwny sposób wciąż biegać, nie tracąc sił". (Oczywiście, że będziesz biegał, bo cię zewsząd będą przepędzać).

„NA MELANCHOLIĘ I BRAK PAMIĘCI. Trzeba wziąć orzech laskowy, który z natury lub od robaka ma dziurę i wywiercić igłą wszystko to, co jest jeszcze w środku. Potem wsunąć do środka piórko pawie, resztę miejsca zapełnić żywym srebrem, i zalepić woskiem dziewiczym (to jest takim, który pszczoły nasamprzód robią). Potem zaszywa się orzech w karmazynowy tafet i uwiesza u szyi, a zobaczy się cuda". (Sposób niezawodny. Już po samym odczytaniu tej rady uśmiechnie się najbardziej ponury melancholik. A cóż dopiero, gdy zobaczy, że znalazł się taki, co ją WZIĄŁ SERIO!).

„NA GŁUCHOTĘ. Weź tłuszczu, którym się dzwony smaruje, i wysmaruj sobie uszy a usłyszysz jak trawa rośnie". (I nawet co w trawie piszczy).

„...GDY KOMU ZADANO MIŁOŚĆ. Wciągnąć nowe buty na bose nogi i biegać w nich szybko całą milę aby nogi się spociły. Potem trzeba zdjąć prawy but i pić z niego wino lub piwo, a nabędzie się odrazy do osoby, która wszczepiła nam miłość w tajemny sposób". („Nabędzie się odrazy do osoby"... Co tam do jednej osoby! Do całego świata!).

„AŻEBY KOGO NIE WIDZIEĆ. Postaraj się o ucho czarnego kota, oparz je mlekiem czarnej krowy, zrób z niego woreczek i włóż na wielki palec, to nikt cię nie zobaczy". (Pod warunkiem, oczywiście, że będzie bardzo ciemno).

Dziesięć WIELKICH TAJEMNIC, dziesięć olśniewających rewelacji. To chyba jako próbka wystarczy. Zresztą na pewno chcielibyście już poznać tytuł DZIEŁA, aby rozpocząć poszukiwania za nim po wszelkich istniejących w Polsce antykwarniach. Oto on:

ALBERTUS MAGNUS
wypróbowane i aprobowane sympatyjne i naturalne
E G I P S K I E T A J E M N I C E
dla
LUDZI I BYDŁA.
Zawierają:
Zestawienie dwustu pięćdziesięciu szczególnie magnetycznych i sympatyjnych środków na choroby, ułomności cielesne i dolegliwości i ku poparciu innych pożytecznych i dobroczynnych celów.

Dla
mieszkańców miast i wsi.
Dwudzieste pomnożone i polepszone wydanie.

Miejsce wydania: Toledo. Dlaczego Toledo a nie Abdera? Nie rozumiem, Ale mniejsza o to.

Probatum. In Folio. Hokus, pokus, marokus. Abrakadabra.

Bogumił Kolec

PS. Daty wydania nie ma. Po zewnętrznych jednak cechach książki (krój czcionek, układ graficzny, papier i t. p.), sądząc, egzemplarz który znajduje się w moim posiadaniu, nie może pochodzić z czasów wcześniejszych niż lata dwudzieste naszego stulecia. Mniej więcej 30 lat temu przedrukowywano jeszcze tego rodzaju bzdury, co świadczy, że musiały one znajdować nabywców i czytelników. A ilu spośród nich mogło owe „egipskie tajemnice dla ludzi i bydła" potraktować serio? I co z tego mogło wyniknąć? Brr... Na samą myśl zimno się robi.

B. K.

Zygmunt LICHNIAK

LIST DO PANA PIECYKA

Drogi panie Teofilu –

piszę do Pana, chociaż się nie znamy osobiście. Nie znamy się osobiście, bo Pana nie ma. Ale zżyłem się z Panem i polubiłem Pana w czasie kilkunastoletniego kontaktu, który nam ułatwił pan Wiechecki. Tak się paradoksalnie składa, że teraz Pan ma ułatwić mi kontakt z panem Wiecheckim. Oczywiście, nie osobisty, tylko intelektualny. Chodzi bowiem o wyjaśnienie kilku nieporozumień, które nagromadziły się wokół pańskiej, panie Teofilu, współpracy z panem Wiecheckim i mojej oceny tej współpracy oraz oceny jej pozytywnych wyników i narastających niebezpieczeństw.

Moja sympatia dla Pana jako dla ciekawego novum literackiego i ciekawej z socjologicznego punktu widzenia postaci skłoniły mnie przed kilku laty do poświęcenia Panu i pańskim znajomym trochę więcej uwagi. Powstał w ten sposób obszerniejszy szkic krytyczny p. t. „Znakiem tego niczegowata muza". Ponieważ tematem tym prawie nikt się przedtem nie zajmował, szkic ten wydrukowano w jednym z popularnych miesięczników („Twórczość), a później we fragmentach powtórzono w innym, równie popularnym piśmie miesięcznym („Problemy"). Po upływie kilku lat uznałem za słuszne znowu zainteresować się jednym z pańskich znajomych, wspominając i o Panu („Dziś i Jutro" nr 18.234, „Anemia Walerego Wątróbki"). Gdy dowiedziałem się o zebraniu roboczym warszawskiej Sekcji Satyry ZLP, zebraniu poświęconym Panu i panu Wiecheckiemu, uważałem za swój obowiązek, za przejaw normalnej lojalności wziąć udział w dyskusji. To, że się w niej powoływano na moje poprzednie o Panu uwagi i wypowiedzi, a co jakoś dziwi i niepokoi pana Wiecheckiego, należy uznać za fakt zrozumiały z dwóch powodów: primo — zawsze warto nawiązywać do dawnych przemyśleń opracowywanego na nowo zagadnienia, secundo — na bezrybiu i Lichniak ryba. Zwłaszcza, że ta ryba przerwała zmowę konwencjonalnego milczenia wokół istotnego tematu. Nie specjalizuję się w „wiechu", bo swoją specjalność pojmuję trochę szerzej, ale piszę i mówię o pańskich sprawach, bo mieszczą się one w ramach mojej szerzej rozumianej specjalności.

Ten wstęp ma służyć zarówno wyjaśnieniu nieporozumień jak i podkreśleniu mojej dla Pana sympatii. Jest ona szczera i nie wazeliniarska, a więc czasami szorstka lub przykra. Wydawało mi się, że taka szczerość ma swoją cenę.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

WŁODZIMIERZ WNUK

Reportaże

Wiosna nad Motławą

Cena Zł. 20.—

Wysyła Biuro Sprzedaży spółki wydawniczej „PAX", Warszawa, Mokotowska 43 po wpłaceniu należności na konto P.K.O. Nr. I-8515.

Tym bardziej zdziwił mnie artykulik pana Wiecheckiego, który — po ostatniej dyskusji na pański temat — wypowiada wiele zdań niepokojących lub wręcz fałszywych („Nowa Kultura" nr 20/112), „Hejże na Piecyka"). Niech się Pan nie gniewa, że zacznę od zakończenia. W zakończeniu pan Wiechecki pisze: **„Żałowałem tylko, że pan Piecyk, ten prawdziwy z Targówka, nie syntetyczny, nie był obecny. Już go widzę, jak słuchając wywodów Lichniaka i Błońskiego rozsmakowuje się w poszczególnych wyrażeniach, jak mówi — Apolonia wulgaryzmu... w hiperbolę szarpany Targówek... Jak kręcąc z podziwem głową nadmienia: — Uczone młodziaki, tylko że z prowincji, znakiem tego nie rozumieją i nie lubieją warszawskiego rodaka".**

Panie Teofilu, muszę stanowczo kilka rzeczy sprostować. W określeniu „uczone młodziaki", jeśli o mnie chodzi, tylko rzeczownik jest prawdą. To, że Pana nie lubię, musiał Panu — mam o to żal do niego — wmówić pan Wiechecki. Ale najgorsza rzecz z tą prowincją. Nie dlatego, że prowincja to coś gorszego czy w ogóle coś złego. Ale — Warszawa, ale Targówek.

Panie, dlaczegośmy się nie spotkali? Przecież więcej niż połowę swego dotychczasowego żywota mieszkałem na Targówku! Czternaście lat, panie Teofilu, czternaście lat! W klipę grywałem przy Pratulińskiej. Na jabłka chodziliśmy z chłopakami do ogrodów zwariowanego Hipcia. Na pewno wie Pan, gdzie to jest. Wszyscy na Targówku to wiedzą. „Pety" zbieraliśmy na rogu Piotra Skargi i Radzymińskiej. Starsi posyłali nas po „małpkę" do Ciapki na róg Poleskiej i Wincentego. Głupia Kazia mieszkała na Mokrej. Na pewno ją Pan znał. Wszyscy na Targówku ją znali. A „Pekin" przy Smoleńskiej? A kino „Dziadówa", do którego jeździło się „na cycku" przez Aleję Odrowąża, aby za 10 groszy obejrzeć film z Tomem Mixem? A „cholerycznik" za .wałem? Pamięta Pan? Ciekawsze to wszystko, niż wystrzyżone klombiki na Saskiej Kępie, gdzie odwiedza Pan chyba często pana Wiecheckiego... Prawda?

Panie Teofilu, ludzie się przywiązują do pewnych miejsc. Ja się przywiązałem do Targówka. Brudna to była dziura, nieładna, wiele się tam zmienia na lepsze, zadowolony jestem, że mam teraz ładniejsze mieszkanie w ładniejszej dzielnicy, ale — sentyment zostaje. Ostatecznie, wszystkie niemal ulice Targówka przedeptało się kiedyś „na bosaka". Chodziłem po nim własnymi nogami, a Pan... Eee, drogi Panie, nie ma Pan racji i kwita. Chociaż Pan jesteś literacka figura i na literackich nogach posuwałeś Pan po Wincentego, mam o to do Pana realną, konkretną pretensję. Ale cóż, ludzie mogą się mylić. Nawet — Pan. Skoro już raz to wygarnąłem, ulżyło mi. Mogę przejść do spraw ważniejszych.

Panie Teofilu, ma rację pan Wiechecki, gdy protestuje przeciwko podejrzewaniu Pana o zbyt zażyłe kontakty ze „szmalcownikami" *) czy o przyjaźń dla „szmalcowników". Tu w swoim ciekawym, trafnym referacie kolega Błoński strzelił byka. Niech sam go teraz chwyta za rogi. Ja się na to jego zdanie nie będę powoływał, bo nie ma w nim racji. W czasie dwudniowego powstania na Pradze widziałem pańskich znajomych z kilkoma granatami atakujących obsadzony przez żandarmerię niemiecką budynek szkolny na Handlowej. Jednego z nich, rozharatanego serią cekaemu, wciągnąłem do korytarza komisariatu przy Tykocińskiej, gdzie zaimprowizowano szpital polowy. Widziałem także zaciśnięte pięści i bezsilny gniew w oczach wielu pańskich przyjaciół, gdy Niemcy przed gwałtowną rejteradą wrześniową 1944 roku wysadzili komin Spółki Myśliwskiej na ul. Ks. Skargi. Zgadzam się z panem Wiecheckim, że wszelkie negatywne uogólnienia są tu bolesnym błędem.

Ale nie mogę się zgodzić z panem Wiecheckim, gdy pisze: **O ile się orientuję, pan Piecyk machnąłby ręką na takie zarzuty Lichniaka i Błońskiego jak: „drwiący stosunek do rodziny, mimowolna apologia wulgaryzmu obyczajowego, atmosfera wiotczenia rygorów moralnych", traktując je jako wyraźny „puc elektromontaż"...**

Śmiem twierdzić, że w tym wypadku pan Wiechecki źle się orientuje. Być może, iż sformułowania zarzutów mogą wywołać u Pana, panie Teofilu, reakcję ujemną. Może oczekiwałby Pan zamiast określenia „drwiący stosunek do rodziny" słów „brak szacunku dla rodzonej małżonki", zamiast „mimowolnej apologii wulgaryzmu obyczajowego" po prostu napiętnowania „chomonta" czy „faceta, któren w towarzyskiem kodeksie nie jest oblatany", zamiast „wiotczenia rygorów moralnych" zwykłego „łajdaczenia się" czy „bajerowania na konto wolnej miłości". Ale i w to nie wierzę. Gdybym do Pana mówił pańskim literackim językiem, podejrzewałby mnie Pan — i słusznie — o małpiarstwo, o zgrywanie się na „kumpla z ferajny". Dlatego uznałem za stosowne tak a nie inaczej sformułować swoje zastrzeżenia. Niepokoi mnie w najwyższym stopniu, że pan Wiechecki ten typ zastrzeżeń lekceważy, że lekceważenie to wmawia w Pana.

Bo o cóż ostatecznie chodzi? O uczciwość. Pan Wiechecki twierdzi, że jest Panu obojętne, czy uważają Pana za złego członka rodziny czy nie, czy mają Pana za drania czy nie, czy przypisują Panu cechy łobuza czy nie. Oczywiście, może się Pan z zarzutami nie zgadzać, może je Pan uważać za fałszywe, może się Pan przed nimi bronić. Ale nie wierzę żeby Pana w ogóle te rzeczy nie obchodziły. A to imputuje Panu pan Wiechecki.

Niech mnie Pan dobrze zrozumie, panie Teofilu. Nie jestem fanatycznym moralizatorem ani wstydliwą dzieweczką, która rumieni się gdy ktoś powie coś „do słuchu". Nie mam także zamiaru odprawiać z Panem świeckich rekolekcji. Zresztą, jest Pan fikcyjną postacią. Właściwie wszystko Panu wolno. Ale „Pan się tyczy do ogółu" O funkcję społeczną chodzi, a nie tylko o t.zw. zgorszenie małoletniej dziatwy. O odbiór wśród szerokich mas czytelniczych. Możemy mrugać porozumiewawczo okiem. Ale nie możemy twierdzić, że to „puc elektromontaż".

Ech, długo by pisać. Powinien się Pan domyśleć, w czym rzecz. Może Panu pan Wiechecki pomoże. A pan może ułatwi panu Wiechekiemu zrozumienie tych zarzutów, które stawiałem mu i stawiam otwarcie,w związku z metodą jego twórczego i odkrywczego działania pisarskiego.

Łatwo te zarzuty ominąć dowcipem, łatwo zastosować unik polemiczny, łatwo kontrargumenty zastąpić dowcipnym zdańkiem napisanym w „wiechu". Nie będę bojował o te sprawy, bo są sprawy ważniejsze. Ale, panie Teofilu, warto przemyśleć: 1) zagadnienie mechanicznego komentarza, 2) zagadnienie schematyzmu sytuacyjnego, 3) zagadnienie językowego „regionalizmu", 4) zagadnienie powielania samego siebie, 5) zagadnienie łatwej zgody na skonwencjonalizowany odbiór społeczny i 6) zagadnienie szukania nowych w zakresie zmonopolizowanej przez siebie metody sposobów pisarskich.

Drogi panie Teofilu, chociaż nie wiem, gdzie Pan pracuje, przypuszczam, że nie ma Pan zbyt dużo wolnego czasu. Nie będę Pana już dłużej nudził. Nie będę już chyba więcej do Pana i o Panu pisał, aby nie zmuszać Pana do trudnej odpowiedzi i aby nie psuć Panu humoru swoimi wywodami „dłubologicznymi". Wierzę jednak, że w rozmowie z panem Wiecheckim dojdzie Pan do wniosku, iż „coś nie klapuje" skoro szczery sympatyk, aczkolwiek nie „wielbiciel", jak pisał przesadnie sprawozdawca „Nowej Kultury", (nr 19/111) musi mówić tyle słów gorzkich. Może ten wniosek negatywny zrodzi w Panach zrozumienie konieczności realizowania wniosków pozytywnych.

Z całego serca życzę tego Panu i sobie i wszystkim, którzy Pana znają. Fikcyjną dłoń mocno ściskam –

Zygmunt Lichniak

P.S. Panu Wiecheckiemu proszę przekazać wyrazy należnego szacunku — Z. L.

*) Dla czytelników „Dziś i Jutro" wyjaśniamy, że słowo to oznacza współpracujących lub handlujących z hitlerowcami Polaków.

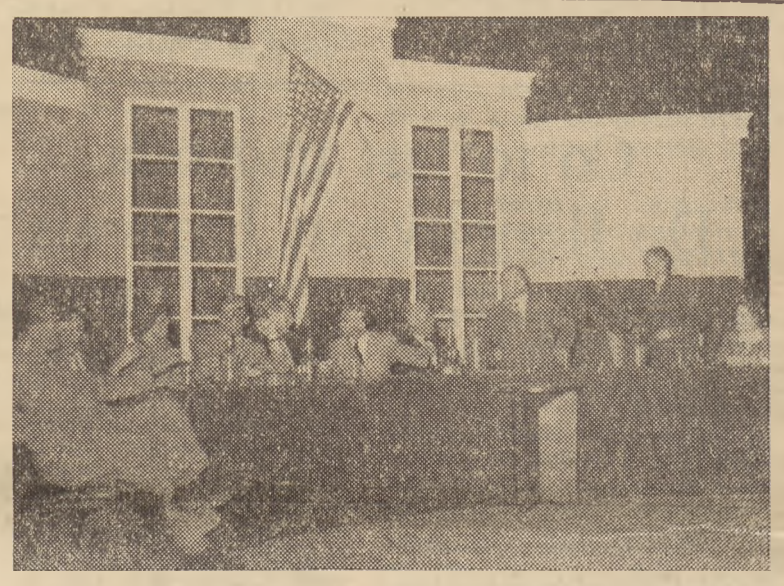

Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych „Zwykła sprawa" A. Tarna w wykonaniu zespołu ZZK z Czechowic. Pierwsza nagroda CRZZ.

W DNIU 20 maja został zakończony Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych w wykonaniu związkowych zespołów ochotniczych CRZZ. Festiwal stał się imponującą masową imprezą artystyczną: w eliminacjach wojewódzkich i centralnej przewinęło się 1200 zespołów świetlicowych z 25 tysiącami uczestników; trzy czwarte tej liczby stanowili robotnicy. Około 5 milionów widzów obejrzało w ramach Festiwalu kilkanaście sztuk, mówiących o współczesnym życiu Polski Ludowej, wśród sztuk tych znalazły się również utwory samorodnych talentów dramaturgicznych, jak „Śmiały projekt" Józefa Nowaka, ślusarza warsztatów kolejowych we Wrocławiu czy „Kino wiejskie" J. Tonowicza z Poznania — wymienieni autorzy otrzymali osobne nagrody CRZZ i Ministerstwa Kultury i Sztuki. Festiwal wykazał często aktywną, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach teatralnych Bydgoszczy, Białegostoku i Olsztyna, a również w Warszawie, Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu, współpracę teatrów i poszczególnych artystów zawodowych z zespołami świetlicowymi. Nagrodami z tego tytułu wyróżnieni zostali J. Kochanowicz, pedagog i reżyser z Teatru Nowej Warszawy oraz K. Podgórski, aktor Teatru im. Słowackiego w Krakowie.

Oto nagrodzone w Festiwalu zespoły świetlicowe:

I. Nagroda Centralnej Rady Związków Zawodowych: Zespół Zw. Zaw. Kolejarzy z Czechowic — za wystawienie „Zwykłej sprawy" Tarna; osobną nagrodę otrzymała reżyserka przedstawienia, D. Baduszkowa. Zespół przedstawiony został do Nagrody Państwowej.

Nagroda Ministerstwa Kultury i Sztuki: Zespół PZPB z Poznania — za wystawienie „Tysiąca walecznych" Rojewskiego w reż. H. Winowicza.

II. Nagrody CRZZ: ZPB, Łódź — „Zwycięstwo" Warmińskiego; Dom Kultury, Chorzów — „Dobry człowiek" Gruszczyńskiego.

Nagrody Min. Kultury i Sztuki: Okręgowy Zarząd Kin, Poznań — „Wiejskie kino" J. Tonowicza; Dom Górnika, Krosno — „Wczoraj i przedwczoraj" Maliszewskiego w reż. W. Łęckiego.

III. Nagrody CRZZ: Pow. Dom Kultury, Przasnysz — „Zaprzęgać konia" Lachowicza; ZZK, Kraków — „Fircyk w zalotach" Zabłockiego; Huta „Zabrze" — „Pociąg do Marsylii" Gruszczyńskiego.

Nagrody MKS: Służba Zdrowia, Połczyn-Zdrój — „Pawilon pod sosnami" Rusinka; Woj Dom Kultury, Kraków — „Trzeba było iskry" Pasternaka; PGR, Gościejowice — „W rodzinnym domu" Piotrowskiego.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki, Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Lubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880 71, 880 26
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Prenumerata miesięczna 1,80 złotych Kwartalnie 5 40 złotych.
Zamówienia i płaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3. Zam. 1556. 3-B-19157.